N. 18. WARSZAWA d. 22 Kwietnia (4 Maja) 1872 ROKU



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

POMIESZCZONEGO

W TYGODNIKU WIELKO-POLSKIM

przez

Elizę Orzeszkową. 1)

Ostatnie dziesiątki lat naszego wieku obfitują w tak zwane kwestje, roztrząsają je wszyscy, którym nieobce i nieobojętne sprawy i dążenia ludzkości, do ostatecznego ich jednak roztrzygnięcia nikt pono dotąd nie doszedł.

Wprawdzie całe życie człowieka na ziemi, moralna, a poniekąd i fizyczna jego istota są także kwestją, ale ta wielka i powszechna kwestja rozpada się na mnóstwo pomniejszych czasowych, miejscowych, a nawet osobistych. Każdy dziesiątek lat, każdy niemal rok i dzień mają swoje kwestje, ma swoje każdy naród, gród, każda gmina i pojedyncza jednostka, wpatrująca się bacznie i z uwagą w powikłane pasmo własnych uczuć, myśli i przeznaczeń. Stosunki narodów pomiędzy sobą i narodów do rządów, rozmiary swobód przynależnych gminie i jednostce, sposób wymierzania sprawiedliwości nad winowajcami, kierunek w jakim kształcone być mają umysły i charaktery młodych pokoleń, równowaga dobrobytu i oświaty pomiędzy rozlicznemi stanami składającemi ogół społeczności, równość obu płci w obec praw do nauki i pracy, oto rozliczne punkta w istnieniu ludzkości, w których kryją się i stinksowemi oczami wyglądają na świat tak zwane kwestje. W dziedzinie filozofji mamy kwestję materji i ducha, dedukcji i indykcji, metafizyki i umiejętności ścisłych, pozytywizmu i idealizmu; w obrębie polityki prawa narodów z prawami podbojów, przepisy sprawiedliwości i szczerości z prawami wojen i prawidłami dyplomacji czyli uczciwość z rabunkiem, wspaniałomyślność i prawość z gwałtem i obłudą ważą się dotąd na szali słusznych rozumowań i występnych sofizmatów umiejących przyodziewać się szatą słuszności. W ekonomji kapitał i praca, monopol i swoboda handlu, własność wielka i mała, zbytek z jednéj strony a nędza z innéj tworzy groźne kwestje. Pedagogija waha się z roztrzygnieniem swoim pomiędzy wychowaniem klassycznem a realnem, humanitarnem a utylitarnem; estetyka nie wypowiedziała ostatniego słowa, czy sztuka znajdować ma w sobie saméj cel swój jedyny i ostateczny czy też szukać go powinna gdzie indziéj? Czy artysta tworząc dzieło piękności, pięknością tylko darzyć ogół winien, lub też wiązać z nią jeszcze pojęcie użyteczności? W stosunkach społecznych nakoniec, widzimy kwestją ludową, rodzinną, i kobiecą, któréj to ostatniéj roztrząsaniu i badaniu jeśli ktokolwiek oddaje się pilnie i długo, poczuwa wielką chęć i niejako potrzebę wytworzenia i przed sąd ludzkości wystawienia kwesji męzkiéj, w któréjby roztrząśniętem i zbadanem było, ażali naprawdę Twórca świata rodowi męzkiemu po wiek wieków oddał monopol nauki i pożytecznéj pracy z pokrzywdzeniem płci drugiéj; i czy naprawdę wszyscy mężczyzni dowodzący nieudolności kobiet do prac poważnych spełniają je sami jak należy, i lękający się zepsucia charakterów kobiecych w skutek nadanych mu praw do oświaty i pracy, nie ulegają sami zepsuciu ile razy tylko z praw tych korzystać nie chcą lub nie mogą.

Na dnie każdéj z tych rozlicznych i różnorodnych kwestji spoczywa jakaś zapomniana prawda, zgwałcona sprawiedliwość, niezadowolniona potrzeba. Ta prawda, zgwałcona sprawiedliwość, ta potrzeba, nurtują ducha ludzkości lub wstrząsają podwalinami fizycznego jéj bytu, dopominając się o uznanie i zadość uczynienie. Uznać to co długo zapomnianem było, zadość uczynić temu co pokryło się rdzą długowiekowych krzywd, rozjaśnić i uwyraźnić to co wychyla się dopiero z łona społeczeństw nieśmiało i słabo, robota to trudna i wielce złożona.

---

1) P. St. Nowiński z powodu przeglądu dzieła Labouley'a p. t. Paryż w Ameryce dokonanego przez p. Orzeszkową, a drukowanego w naszym Tygodniku, ogłosił w Tygodniku Wielkopolskim w Poznaniu, *Kilka słów w przedmiocie przekładów z języków obcych na polski.* W artykule swym zalecając szczególną ostrożność w przyswajaniu obcych idei i wyobrażeń, w zakończeniu powiada.

Występując przeciw przekładom w ogólności, nie myślimy bynajmniéj utrzymywać, że nowe jakieś zwłaszcza wiele obiecujące teorje, dla tego że cudzoziemskie, nie powinny być w kraju naszym całkiem znane. Bynajmniéj, sądzimy tylko że najprzód nauczyciele, przewodnicy narodu piszący zgłębić je powinni. Ich rzeczą jest wszystko czytać, wszystko wiedzieć co się dzieje gdzieindziéj, naród zaś nie potrzebuje wiedzieć wszystkiego zawsze, bo naród jest dzieckiem które piszący wychowują i jak dziecko, pod tym oczywiście względem traktowanym być powinien. Powoli, stopniowo dziecko to dowie się o wszystkiem. Ostrożność największa jest tu tem potrzebniejszą, ponieważ przez nawał nowych idei, naród mógłby bardzo łatwo utracić z przed oczu cel główny, któremu wszystkie swe siły poświęcić winien. Piszący zaś chcąc przyswoić, zaszczepić narodowi swemu nowe idee, powinni zastanowić się najprzód, czy czas jest do tego stosowny, bo każda roślina ma właściwy sobie czas posiewu, wzrostu i kwitnienia... I pod idee grunt najprzód uprawić należy, czekać póki nie nadejdzie czas posiewu: należy nowe prawdy do rozmaitych okoliczności zastosować i w takiéj postaci podać je narodowi, aby się istotnie przyjęły.

Na tę mniéj więcéj główną treść artykułu pana St. Nowińskiego, pani Eliza Orzeszkowa obszerną daje odpowiedź, którą jako dotykającą niezmiernie ważnéj kwestji nader chętnie w piśmie naszem pomieszczamy.

Redakcja.

Ścierają się tu pojęcia i interesa, niedowiarstwo i łatwowierność, oziębłość i namiętność staczają bój zawzięty. Ztąd twierdzenia i przeczenia, pożądania i obawy, popychania i wstrzymywania, ztąd różnice zdań i żądań, a więc — kwestje.

Pessymiści patrzący na świat przez szkło zaczernione sądzą z ich własnego najczęściéj wnętrza zaczerpniętą, i skeptycy którzy nie walczą z wątpliwościami aby od nich stałe przekonanie wywalczyć, ale lubują się niemi jak miękką poduszką na któréj słodko jest spać lenistwu i samolubstwu, tacy pessymiści i skeptycy mogą z politowaniem podobnem do wzgardy, z niedowiarstwem bliskiem stanowczego przeczenia, spoglądać na tę Syzyfową robotę ludzkości z krwawym trudem i w pocie czoła dobijającéj się szczęścia i prawdy. Ale człowiek dobréj wiary i woli, mający oczy do patrzenia, serce do kochania, a głowę nie do spania na poduszce skeptycyzmu, lecz do uczenia i myślenia, w bojach tych i wysileniach w tym warze uczuć i pochodzie pojęć, ujrzeć musi koniecznie prawo ruchu władające wszystkiem co żyje, jedyną nadzieję poprawienia tego co złe, jedyną rękojmią, a zarazem najwyraźniejsze świadectwo postępu.

Być może iż absolutne dobro nie zostanie nigdy naszym udziałem, że wzrokiem ducha nie sięgniemy nigdy absolutnéj prawdy tak jak oczami ciała nie ujrzymy mieszkańców Jowisza. Mamyż przeto zakładać ręce i zamykać oczy? Nie mogąc stać się Archaniołami mamyż przeto zostać Fakirami? Mamyż przestać chodzić dla tego, że niepodobna nam latać; zaniedbać nabywania wiedzy dla tego, że o wszystkiem co było przed wiekami wieków i co istnieje w przestrzeniach przestrzeni, wiedzieć nie będziemy nigdy? Co do mnie jestem zdania, że ktokolwiek zamyka oczy i zakłada ręce czyni tak dla tego, że mu się spać chce a pracować nie chce.

Ponieważ jednak spanie w biały dzień nie jest przyzwoitem ani powszechnie przyjętym zwyczajem, ako wymówka przedstawia się wygodny sofizmat: „Jesteśmy nieudolni... Na nędzę naszą rady nie ma... Idee nasze to mrzonki, postęp — złudzenie, wysilenia i boje—wojny z młynami"! Sofizmat taki wymawia się z westchnieniem, co nadaje mu pozór sławnego *Weltschmerzu*. Mnie się jednak zdaje, że *Wetschmerzy* napadają tylko próżniaków i samolubów, niekiedy także bywają one chorobą wielkich umysłów i serc gorących, ale wtedy tylko, gdy umysły te i serca niezapoznane dobrze z naturą świata, ludzi i własną, zboczą z drogi nakreślonéj trzeźwym rozumem i pojęciem o obowiązkach człowieka, który cierpieć musi, wątpić może, ale szukać szczęścia i prawdy powinien.

Dążenie do ideału, pożądanie go jest najpiękniejszym atrybutem natury człowieka, odgraniczającym go stanowczo od reszty istot organicznych, żyjących, z których nie mało znajduje się obdarzonych rozumem, pamięcią, pewną nawet summą uczuć i woli, ale żadna nie sięga po za najbliżéj otaczającą rzeczywistość. Jeden tylko człowiek obdarzony jest tą siłą dźwigania się, która pozwala mu podnosić się coraz wyżéj w pochodzie ku doskonałości a pobudza do powstawania z upadku—i drugą jeszcze siłą wnikania, za pomocą któréj przenika on formę zewnętrzną, aby ujrzeć treść i jądro rzeczy, z za szeregu następstw dostrzega przyczynę. w chąosie zastosowań i zboczeń rozróżnia zasadę. Bogaty w dwie te siły dźwigania się i wnikania, człowiek uczy się, kształci, wzrasta, wynajduje przyczyny i zasady, otrząsa je z pyłu zboczeń i błędów i śród wszelkich zjawisk zewnętrznych, powikłanych, spruchniałych, rodzących się i umierających, dopytuje się, dobadu-je, szuka—ideału.

Ideał w urządzeniu państwa, gminy i rodziny, w stosunkach ludzi pomiędzy sobą i ludzi do Boga, ideał cnoty, szczęścia, sprawiedliwości, miłości ogólnéj i pojedynczéj, oto za czem goni ludzkość najszlachetniejszemi porywami swemi, z ogromną summą trudów i walk. Usiłuje ona słowem stworzyć doskonały wyraz saméj siebie, tego wszystkiego, do czego jest zdolną, czem stać się, czego używać i co zdziałać chce i może. Czy wielkie przewroty religijne, polityczne i społeczne, które w ciągu dziejów powtarzały się nieraz na różnych punktach przestrzeni i czasu, nie miały źródła w téj właśnie wewnętrznéj robocie rozpierającéj łono ludzkości spragnionej ideału? Zmieniały się religje, rządy, prawodawstwa i obyczaje; ludzkość odrzucała je z kolei bo nie znajdowała w nich doskonałego wyrazu saméj siebie. Czy te rozliczne kwestje, które zajmują dziś i pochłaniają tysiące wielkich umysłów i serc szlachetnych, nie są także wytworem ducha ludzkiego sięgającego prawdę i szczęście, niémi z których powikłanego pasma ludzkość wyplątać pragnie i usiłuje —ideał?

Kwestji tych przecież rozciąć jednym zamachem miecza na kształt gordyjskiego węzła niepodobna. W kraju naszym dawano niegdyś młodéj oblubienicy, mającéj nazajutrz iść do ślubnego ołtarza, pasmo splątanego jedwabiu aby je rozwikłała. Czy wysokich zagadnień filozoficznych, politycznych, społecznych nie możnaby porównać do splątanych pasem uczuć, porywów, pojęć i wyobrażeń do których rozwikłania dąży ludzkość w przeddzień zaślubin z ideałem?

Pod wyrazem 'ludzkość, rozumiem tu ludy które dosięgły już pewnego stopnia oświaty i samopoznania. Inne są dopiero materjałem przeznaczonym zapewne do utworzenia w przyszłości szeregu nowych i świeżych pracowników. Tymczasem ludy mniéj więcéj oświecone i należące do hierarchji cywilizacyjnych godności, na jakimkolwiek by zresztą stopniu téj hjerarchji umieszczonemi były, wspólnemi siłami podejmują ową wielką pracę. Powiedziałam wspólnemi siłami, bo w tem znaczeniu przeważnie a może jedynie należy rozumieć braterstwo i solidarność narodów.

Względy, które z łatwością pojętemi i ocenionemi być mogą przez każdego, nie pozwalają mi tu rozszerzać się nad punktem widzenia z jakiego patrzę na kosmopolityzm, i nad zdaniem mojem o téj doktrynie powszechnéj miłości, która jeśliby podobną była do sprawdzenia, co na szczęście nie jest, sprowadziłaby niezawodnie powszechną oziębłość! Powiem tylko, że kosmopolityzm podobnie jak kommunizm wydaje mi się majaczeniem powstałem z razu z umysłów entuzjastycznych i wspaniałomyślnych, lecz chorych i nielogicznych, a przyjętem później jako wygodne *palladium* od wszelkich ofiar, strat i cierpień przez ludzi oschłych, obłudnych, chciwych, leniwych i tchórzliwych.

Przed stu jeszcze laty Jan Jakób Rousseau napisał: że niejeden udaje zapalczywą miłość dla Eskimosów, aby nabyć przez to prawo nie kochania swoich sąsiadów. I to jest wielką prawdą. Ile razy wymawiam lub kreślę wyraz kosmopolityzm, przychodzi mi też na pamięć jedna z najwyborniejszych powieściowych figur Dickensa, pewna młoda dama Angielska, która dnie i noce przepędzające nad wymyślaniem sposobów udoskonalenia Afrykańskiéj kolonji małych Murzynów, nie widziała dzieci własnych spadających ze wszystkich wschodów, tłukących sobie czoła, nosy, umierających prawie z głodu i zaniedbania. Kosmopolityzm jako całkowicie sprzeczny z logiką uczuć ludzkich, które tak jak myśli postępują stopniowo od punktów bliższych do dalszych i rozszerzają krąg swój za pomocą kojarzenia się, zaczynając zawsze od tego co najbliżéj nas dotyka i najlepiéj godzi się z własną naturą naszą. Kosmopolityzm tedy jako doktryna całkowicie sztucznie wymyślona i w ludzkim ustroju źródła swego nie mająca, zastosowanym być w ludzkości nie może. Tak jak z kommunizmem przebyto z tem mnogie próby, które się nie udały; boć jasną jest rzeczą, że kto posiada rzecz jaką wspólnie z całym światem, ten nic wcale nie posiada, a kto wszystkich jednostajnie kocha i wszystkim jednostajnie usługi swe ofiaruje, ten nikogo wcale nie kocha i nikomu nie służy. Są położenia w których kosmopolityzm jest po prostu głupotą lub oschłością serca, ale bywają i takie, w których wyznawany i w czyn wprowadzony, staje się zbrodnią....

Maż to wszystko znaczyć, że odrzucając kosmopolityzm, jako sztuczny wytwór gorączkowych snów lub krzywych wyobrażeń, powinniśmy przyznać słuszność onéj innéj wcale lecz również sztucznéj i bezpłodnéj zasadzie, która na chorągwi narodów napisała godło: Każdy u siebie, każdy dla siebie? Żadne serce istnie dobre, żaden umysł szeroko spoglądający na sprawy tego świata, przenigdy zasadzie téj zatwierdzenia nieda. Musimy najprzód kochać Ojczyznę naszą, aby zdolnymi być ukochać ludzkość, jest to prawda, ale musimy także znać, rozumieć ludzkość i łączyć się z nią w dążeniach i myślach, jeśli skutecznie i rozumnie chcemy służyć Ojczyźnie naszéj. Druga to i nie mniéj jasna, niemniéj naturalna od pierwszéj prawda.

(d. c. n.)

Zjednoczona praca kobiet.

Ze wszystkich ran socjalnych najokropniejszem są: brak i nędza. One to tworzą zbrodnie i występki, one wstrząsając porządkiem w społeczeństwie, zagrażają spokojowi i bezpieczeństwu pojedynczych jednostek. Wieki siliły się nad sposobami ich usunięcia, lecz i wysiłki wieków były daremnemi. Ze wzrostem ludności wzrastała i nędza, a choć zakłady dobroczynne przytulały massę biednych, choć hojną ręką sypana jałmużna zasilała żebraków, nędza zamiast się zmniejszać mnoży się i wzrasta ciągle, tworząc na zachodzie groźne i czarne chmury proletarjatu, z których już niejednokrotnie pioruny wypadły. Wszystko to jednak dlatego tylko się dzieje, iż dotąd wszelkie usiłowania dążyły jedynie do usunięcia, saméj nędzy, nieusuwając tworzących ją przyczyn, braku pracy i próżniactwa. Wprawdzie u nas nie doszło jeszcze do ostateczności, kraj nasz w tem przynajmniéj szczęśliwszy od innych, że nie zna téj straszliwéj plagi zachodu, a nie zna dla tego, że u nas dla zdrowéj męzkiéj dłoni nie brakuje pracy. Lecz powiadamy jedynie dla męzkiéj, niestety bowiem dla kobiet u nas jak i wszędzie, a może i więcéj jeszcze okoliczności są trudne i krytyczne. Ograniczone szranki kobiecéj działalności, zredukowane jedynie do igły i nauczycielstwa, przy ogromnéj liczbie potrzebujących téj pracy, nie mogły nie wywołać jéj braku i nie stać się źródłem dostarczającem kontyngensu prostytucyi.

Wyzyskiwanie zaś pracy przez niesumiennych spekulantów wskutek zbytecznej konkurencyi, czyniąc ją mało produkcyjną, nie mogło w końcu z najuczciwszych nawet pracownic, nie uczynić żebraczek lub nie zapełnić niemi szpitali. Miłosierdzie chrześcijańskie jakkolwiek wielkie u nas,nie było w stanie nic zdziałać dla massy, a nawet wprost przeciwnie

wym całom wydało owoce. Dając bowiem możność chwilowego zaspokojenia potrzeb zniedołężniło tych, o z niéj korzystali. Gdy więc tą przez wieki wytkniętą drogą nie można było nic zaradzić, zaczęły się odzywać pojedyncze głosy, pojawiać usiłowania w celu wynalezienia skuteczniejszych środków, wprost na przyczyny działających.

Takim to usiłowaniem i w tym już kierunku prowadzonéj działalności szlachetnych jednostek, zawdzięczamy zakład malarstwa dla kobiet hr. Łubińskiéj, pracownię św. Marty, i dziś już nie istniejący, ale może najwięcéj z nich praktyczny zakład sztuk i rzemiosł pani Szmidt. Wszystkie one jednak pomimo swych dążności nie mogły zadość uczynić potrzebom, i albo upadły z braku środków, albo zamykając się w ciasnych jednostronnych ramkach swéj działalności, nie mogły wpłynąć zaradczo na ogół.

Na wielkie złe za mało pojedynczych usiłowań. Ażeby je usunąć potrzeba sił większych, sił zbiorowych a te dopiero poparte pracą i kapitałem z kolei wspieranym umiejętnością i dobremi chęciami, będą w stanie zawiązać instytucyę, która jedynie umożebni zaradzenie temu, co się zdawało dotychczas nie do zaradzenia. Do tego to zmierzając celu, na skutek wniosku Doktorowej Kuczyńskiéj, kilka osób dobréj woli postanowiło położyć pierwszy węgielny kamień takiéj instytucyi, przez zawiązanie obecnie powstającéj spółki pod nazwą: *Zjednoczona praca kobiet* do któréj jeśli dobrze zrozumiana filantropija dorzucać będzie kamyczki swéj życzliwości i poparcia, to niezawodnie z niéj powstanie budynek, który przejdzie oczekiwanie dzisiejszych postępowych marzycielek. Spółka: *Zjednoczonéj pracy kobiet* nie będąc instytucyą dobroczynną lecz raczéj przemysłowo-handlową, stawia sobie za zadanie do spełniania.

1. Za pomocą przemysłu dostarczać lub nastręczać bez ograniczenia pracę kobietom, żądającym takowéj, oraz rozszerzać jéj zakres przez użycie kobiet do robót dotąd przez nie niepraktykowanych.

II. Za pomocą handlu ułatwiać zbyt wyrobów kobiecych i pracę ich uczynić produkcyjniejszą. Oprócz tego spółka, rozciągnie opiekę tak materjalną jak moralną nad wszystkiemi pracownicami, które się kontroli spółki poddać zgodzą. Starać się też będzie zapewnić im na przyszłość przez dopuszczenie udziału w spółce, do zebrania w pewnym czasie kapitaliku jakiego dotąd najmożebniejszą—i najwytrwalszą pracą całego życia, żadna z nich sobie wywalczyć nie mogła. Każda pracownica złożywszy jednorazowie lub ze strąconéj jéj jakiejś części z każdodziennego zarobku rubli sr. 15, stanie się uczęstniczką spółki. Z takich to bowiem lub większych udziałów pracownic wciąż pomnażających się składkami, utworzony zostanie tak zwany kapitał *posagowy*, który w obrotach handlowych i przemysłowych będzie korzystać ze wszystkich jéj zysków w stosunku pomyślności i wzrostu spółki. Po upływie lat pięciu trwania spółki, kapitał ten rozdzieli się pomiędzy uczęstniczki całkowicie odpowiednio do złożonych przez każdą z nich składek. Tym sposobem spółka rozszerzając granicę pracy, chroniąc od jéj braku i łącząc pracę z osobistym interesem pracujących a więc zachęcając do takowéj, usunie główne dwa źródła nędzy i wynikającego z niéj zepsucia.

Czy się uda spółce osiągnąć zamierzone cele? Należy sądzić, że usiłowania niewątpliwie uwieńczone zostaną, najprzód dla tego że interesa spółki prowadzić będą ludzie materyalnie odpowiedzialni, wszakże nie tak dalece zamożni, by zupełnie było dla nich obojętnem, co się stanie z kapitałem po rs. 500 przez każdego z założycieli do spółki włożonym. Dbając więc o własny interes, dbać będą i o interes spółki. Powtóre znaczna ilość uczestniczek, jaką spółka z pewnością pozyska, będzie żywą reklamą dającą spółce rozgłos. Po trzecie nie można wątpić, że osoby potrzebujące robić sprawunki w towarach, jakie i spółka produkować będzie, a przynajmniéj nasze damy, będą wolały swym zakupem popierać instytucyę mającą cele społeczne, niżeli interesa pojedynczych spekulantów. Zresztą spółka niezagradza drogi dla czystéj dobroczynności szlachetnych i bogatych osób, jakich nasze miasto nie na jednostki liczy, wszelkie zatem ofiary na kapitał emerytalny własnością robotnic będący powiększając go, uczynią możebnym zapewnienie świetniejszéj jeszcze przyszłości, dziś tak pożałowania godnym pracownicom.

By zaś moralne bezpieczeństwo jeszcze uczynić większem, spółka zaraz po swem zawiązaniu się i rozpoczęciu działań zaprosi na protektorki, osoby zajmujące wysokie stanowisko społeczne i im będzie zdawać sprawozdania z czynności odnoszących się do pracowitych uczęstniczek spółki i do ich kapitału emerytalnego. *P.*

Podając o tak ważnem przedsięwzięciu obszerniejszą wiadomość, mamy nadzieje że zamierzone stowarzyszenie obudzi ogólne zajęcie. O użyteczności a nawet konieczności zawiązania podobnéj spółki mówić byłoby zbytecznie. Wszędzie gdzie tylko rozwój pracy i jéj uorganizowanie ma być podstawą jakiéj instytucyi, tam pożytek społeczny widoczny, i nie trzeba nań wskazywać, aby go dojrzano. Nie ma wątpliwości, że prassa nasza perjodyczna zajmie się rozbiorem tak ważnego przedsięwzięcia, zwłaszcza że dotyczy kobiet nader u nas szczupło uposażonych w środki zarobkowania. Podawać o tem treściwe sprawozdania nie omieszkamy, a do naszego pisma chętnie przyjmiemy wszelkie uwagi kwestyi téj dotyczące.

Korespondencja ze Lwowa.

(Drożyzna i brak pomieszkań. — Nowe budowy. — Swary w Kasynie i teatrze z powodu odczytów. — Nowe publikacje naukowe.)

Na temat pierwszego uśmiechu wiosny, która nam tak znakomicie święta uprzyjemniła, możnaby za przykładem tylu korespondentów i kronikarzy wykrzesać z frazesów tyradę sielankowego kroju.

Ale wiosna już od kilku lat ma dla nas coraz mniejszy urok, odkąd zwiastunem jéj w miejsce jaskółki i pierwszych pączków, stała się głośna skarga i utyskiwanie na brak i drożyznę pomieszkań. Dopóki trwa zima nikt nie odzywa się tak głośno z temi skargami, bo każdy zadawalnia się ciepłym kącikiem choćby najciaśniejszym i najnędzniejszym pocieszając się nadzieją, że z wiosną przybędzie miastu jeżeli już nie kilka nowych ulic, to przynajmniéj kilkadziesiąt nowych kamienic, które usuną bodaj częściowo brak i drożyznę pomieszkań. Tymczasem już od kilku lat wiosna rozwiewa wszystkie te nadzieje gorzkim zawodem, chociaż mamy nawet osobny bank budowniczy.

A brak i drożyzna pomieszkań idą w zawody z utyskiwaniami i wzmogły się w bieżącym roku istotnie w sposób niesłychany. Do jakich rozmiarów doszła już ta klęska, poznać mogą czytelnicy z następującego faktu. Od kilku lat mieści się nasza najwyższa władza autonomiczna. Wydział krajowy w prywatnéj kamienicy, za którą opłaca roczny czynsz w sumie 5,000 złr. W tym roku, gdy przyszło do odnowienia kontraktu najmu, właściciel podwyższył swe pretensje do 11,000 złr. i zażądał jeszcze nadto tytułem gratyfikacji kontraktowéj 2,000 złr. Nie jest że to jaskrawa illustracja naszych stosunków? Sejm będzie żałował, że na poprzedniéj sesji odłożył do lepszych czasów projekt wybudowania osobnego gmachu na biόra Wydziału krajowego zaraz z salą sejmową. Obecnie fundusze krajowe opłacać będą za najem lokalu dla Wydziału krajowego i sali sejmowéj rocznie dwadzieścia kilka tysięcy złr. a gmach własny kosztowałby tylko 200 tysięcy i odpowiadałby wszelkim wymaganiom i potrzebom.

W kwestji pomieszkań wszyscy Lwowianie stali się już i to całkiem słusznie, takimi pessymistami, że nie wierzą obiegającym w téj chwili wieściom, o bardzo rozległych planach budowniczych lwowskich i wiedeńskich banków, tudzież prywatnych przedsiębiorców. Nieporadność i brak zmysłu przedsiębierczego są tak wielkie u naszych kapitalistów i w zakładach finansowych, że doczekamy się ulżenia dzisiejszéj biedy chyba tylko od sprytu przedsiębierczego zmysłu kapitalistów i banków wiedeńskich, które zrobią wyśmienity interes i staną się jeszcze nadto dobrodziejami Lwowa.

Zanosi się na to już w tym roku, bo wiedeński bank Union miał według doniesień dzienników, zakupić na nowym świecie rozległe place i zamierza tam budować cały szereg skromnych kamienic. Za tym przykładem chce iść i lwowski bank budowniczy, który w tem samem miejscu zamyśla stawiać małe domki z ogródkami przeznaczone tylko dla jednej rodziny. Czynszownik może przez regularną wypłatę stosownie unormowanego czynszu, stać się w dziesięciu czy piętnastu latach właścicielem takiej realności. Jeżeli pomysł taki nie powzięty został dotąd na serjo, to życzyć należy przedsiębiorcom w ich własnym interesie ażeby go jak najprędzej podjęli i zrealizowali. Budowa takich domków dla klas uboższych przyjęła się za granicą a mianowicie w Belgji i błogie wydała owoce. Oszczędny robotnik nabywa tam w ten sposób w stosunkowo krótkim przeciągu czasu, pod warunkami wcale nieuciążliwemi realność, któréj wartość w miastach wzrastająca po latach kilkunastu znacznie się podnosi. Dziennikarstwo nasze i publiczność zachęca usilnie bank budowniczy lwowski do wykonania tego zamiaru, bo widzi w nim całkiem słusznie jeden z najskuteczniejszych środków usunięcia dzisiéjszéj drożyzny i braku pomieszkań. Że chwila dzisiejsza jest stosowną do przedsiębierstw tego rodzaju dowodzi już sam fakt, że prawie wszystkie układy lwowskie a nawet rząd obarczony kolosalnemi długami państwa, uznał opłakany stan stosunków lwowskich i przyznał urzędnikom dodatki nadzwyczajne do pensji.

W obec braku pomieszkań w najistotniejszem tego słowa znaczeniu, przestaliśmy już myśleć o uporządkowaniu i upiększeniu miasta, chociaż w tym roku doczekamy się pod tym względem kilku zmian pożądanych. Rada miejska postanowiła zająć się na serjo przyśpieszeniem zaniedbanéj budowy gmachu na szkoły i upiększeniem cmentarza Łyczakowskiego, który nawet w dzisiejszym, mocno zaniedbanym stanie jest miejscem uroczem i pod względem położenia rywalizować może z słynnemi cmentarzami zagranicznemi. Rząd przyczyni się także znakomicie do upiększenia stolicy galicyjskiej, bo już w tym roku rozpocznie budowę gmachu na technikę i obserwatorjum astronomiczne. Koszta téj budowy wynoszą pół miljona a może i więcéj. Położenie gmachu przyszłego wybrane zostało bardzo szczęśliwie, bo na wzgórzu, u stóp którego leży obecnie najwięcéj ulubione miejsce przechadzek i ogród jezuicki. Zanosi się także na budowę nowego teatru, którą gotów jest wykonać jeden bank wiedeński pod bardzo korzystnemi warunkami. Ale jest to

dopiero projekt, do którego przynajmniéj w téj chwili żadnéj nadziei przywiązywać nie można, bo słynna lwowska nieporadność, nie pozwala u nas ludzioni prędko się decydować.

Kiedy już tak nieostrożnie zawadziłem o słówko teatr, poświęcić muszę znowu jeden ustęp naszym stosunkom teatralnym. Teatr jak widać pozostać musi na długo czarnym punktem na lwowskim horyzoncie artystycznym. Zdawało się, że po usunięciu niesympatycznej dyrekcji, ustalą się stosunki pokojowe pomiędzy teatrem, a dziennikarstwem i publicznością, tymczasem mamy już nową dyrekcję, a dotąd jeszcze nie doczekaliśmy się nawet zawieszenia broni w całem tego słowa znaczeniu. Nowa dyrekcja musi już w téj chwili staczać walkę z dość silnym obozem opozycyjnym, który może urość do niebezpiecznych rozmiarów, jeżeli teatr wśród swych warunków nie odpowie wszystkim wymaganiom i nie zadowoli danych przyrzeczeń, albo jeżeli organa nowéj dyrekcji prowadzić będą polemikę tak niezręcznie, jak to się dotąd dzieje.

(d. n).

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

(Dokończenie).

Drugi obrazek pana Kotsisa przedstawia młodego górala w rodzinnym swym zakątku, leżącego na ziemi z fajką w ustach a twarzą wprost zwróconą do patrzącego. W naiwnym uśmiechu jego może przebija się cokolwiek nienaturalności, mieści się jednak i wiele prawdy choć niczem nieusprawiedliwionéj, bo góral jest samotny, po za nim dopiero rozciąga się pusty karpacki krajobraz, więc śmiać się niema do czego. Jeżeli zaś uśmiech ten przeznaczony jest dla widza, to psuje wrażenie. Wyraźnie artyście brakło pomysłu w kompozycji, i niewiedząc co ma zrobić z góralem w pośród górskiéj przyrody, położył go na ziemi i obdarzył uśmiechem, który dziwi ale nie ujmuje.

Portret starca wykonany przez pana Stanisława hr. Kosakowskiego, świadczy nader pochlebnie o talencie jego twórcy. Zdaje się nam, że jest to pierwsza praca przedstawiona na Wystawie, tym więc godniejsza zwrócenia na siebie uwagi. Nie znamy oryginału, ale że podobieństwo musi być zupełne, świadczy o tem życie rozlane w całéj twarzy portretu. Wszystkie szczegóły ze starannością odwzorowane, siwe włosy na głowie przedstawione w całéj prawdzie, cera twarzy już zgrzybiałéj wiekiem naturalna, może tylko ręce nie zupełnie wykończone, brak w nich zagięć, onego lekkiego sfałdowania skóry, jakie zwykle u osób wiekowych daje się spostrzegać. W każdym razie praca to piękna, talent w niéj widoczny, i porównany nawet z pierwszorzędnemi, nic nie traci na swéj wartości. Mamy nadzieję, że choć jest pierwszą jaką oglądamy, nie będzie zapewnie ostatnią o co się w imieniu sztuki upominamy.

Portret młodéj panny przedstawiony przez pana Jasińskiego, ma główną wadę w cieniu rzuconym na część twarzy, szyję, gors i ramiona. Tak jak to zrobił artysta, to zdaje się, że osoba zportretowana jest brudna lub obsypana delikatnym pyłkiem szarego kurzu. Brak na to uwagi psuje efekt i wartość całéj pracy, mającéj jednak i zalety godne uznania.

Obraz p. t. przy studni p. Valent przedstawia młodą dziewuchę krakowiankę, trzymającą na cembrzynie studziennej konewkę, a obok niej opartego o krawędź młodego parobczaka w kożuchu i czapce czerwonéj. Oboje patrzą sobie w oczy, nie wiadomo jednak, czy tak zwyczajnie jak to bywa zwykle w rozmowie, czy też ze znaczeniem coś o serce zaczepiającem. Jeżeli to tylko rozmowa, to jakaś bardzo obojętna: jeżeli miłosna, spotkanie to niezmiernie zimne i nienaturalne. Przy słowach z serca i sercem szeptanych, czy w salonie czy przy studni, ukochana zakłopotana, twarz całą oblewa zwykle szkarłatem, oczy spuszcza nieśmiało, a jak na wsi, ręką gniecie fartuszek, jakby się mściła na nim za swą nieśmiałość i wstydliwość, trzymając oczy przy ziemi niby przybite. Tu tego wszystkiego nie ma, stoją i patrzą na siebie, a widz z ich twarzy niczego się nie może domyślić. Za to w kolorycie kożucha i czapki parobczaka, w sukmanie dziewuchy futrem podbitéj i reszcie jéj ubrania, w konewce, bardzo wiele prawdy i naturalności. Artysta w pracy téj pokazał, że umie władać farbą, pędzlem i ołówkiem, ale brak mu twórczości.

Pana Ruśkiewicza znajdują się cztery krajobrazy, ale zdaje się nam, że cokolwiek pośpieszniéj wykonane, jak inne prace tego zdolnego i sumiennego artysty. Woda naprzykład w stawku we wsi Kościelnéj w Sandomierskiem i w Prądniku na drugim przedstawionea obrazku, zdaje się być ani stojąca ani bieżąca tylko jakby zamarzniętą. W niektórych punktach znajdują się nawet rysy, jakby od popękania lodu, gdy tymczasem zieloność otaczająca wodę świadczy jasno, że to pora letnia, oddychająca życiem które każdy szczegół winno cechować. W obrazkach tych chociaż nigdzie nie znać zaniedbania, bo p. Ruśkiewicz nie umie być w pracy niedbałym, przebija się jakby pośpiech szkodliwie na całość wpływający. Ostrość rysunku i tu wszędzie przeważa, brak harmonji w zjednoczeniu prawdy ze sztuką, tego wymodelowania każdego szczegółku co to robi go żywym i naturalnym. Pan Ruśkiewicz umie tak malować, i dotąd coraz nowsze składał tego dowody, dla czego tu mniej był starannym nie umiemy na to odpowiedzieć.

Stepy p. Chełmońskiego obecnie dla nauki bawiącego w Monachjum, ogromny przedstawiają postęp tego młodego, a tak zdolnego artysty. Na pierwszym planie widać porost gęsto stepowy, idący ścianą, wysoki do szyi człowieka w pośród którego jeden zając stojąc słupkiem z nadstawionemi słuchami, zdaje się bacznie nadsłuchiwać dochodzącego go szelestu, gdy drugi zabiera się do ucieczki. Po za ścianą porostu stepowego, posuwa się drogą kilkunastu kozaków zwanych u nas czerkiesami.

Pomysł więc bardzo prosty, ale w całym rysunku w ugrupowaniu jadących, w ich bezładnym pochodzie w postaciach do połowy prawie zasłoniętych, w nadsłuchującym zającu, tyle się mieści prawdy, że zdaje się iż się stoi w pośród tego bezludnego stepu, słyszy tupot końskich kopyt, szum burzanu tęsknę piosnkę jadących i chrupot zeschłych łodyg, łamanych kicaniem zająca. Malutki to obrazek ale nader miły, nader efektowny, choć w kolorycie mieszczą się jeszcze pewne niedostatki.

Jeszcze mniejszym ale równie ujmującym jest obrazek p. Ksawerego Pillatego, przedstawiający konnego posłańca biegnącego tęgim kłusem z bukietem kwiatów trzymanym w ręku. Widząc ze mu zalecono pośpiech, bo na nic nie zważa nachylony pędzi wprost przed siebie, macha nogami przynaglając szkapę do biegu, a ta wyciąga nogi jak tylko może, aby daléj, aby prędzéj stanąć u celu. Wyborny tu układ w całéj postaci posłańca, widocznie trzęsionego szybkim biegiem konia, szkoda tylko, że artysta przedstawił go ze strony pleców mniej zawsze ciekawych, i tym sposobem twarz posłańca zupełnie zakrył przed okiem widza.

Korespondencja z Paryża.

O UBIORACH

Mówiliśmy w przeszłem sprawozdaniu o pięknych kapeluszach i okrywkach panien Kuhnke, dziś opiszemy parę sukien i parę kostiumów zakupionych na model. Wszystkie odznaczają się prawdziwie wytwornym gustem.

Najstrojniejsza ze wszystkich, suknia jedwabna popielata powłóczysta, ma u dołu szeroki garnirunek z gazy grenadinowéj tegoż koloru, w dwóch odcieniach. Na wierzch idzie tunika złożona z osobnych części. Z przodu tworzy fartuszek jedwabny ogarnirowany gazą; po bokach długie szarfy, które można przewiązać w tyle, albo też puścić według woli. Z tyłu nafałdowany wielki karoczek. Stanik pół otwarty, przybrany chusteczką gazową. Rękawy szerokie z odpowiednim garnirunkiem.

Dodamy tu, że popielate suknie z gładkiéj materji, należą dziś do najmodniejszych.

Inna suknia jedwabna czarna, ma tunikę z gazy grenadinowéj czarnéj, przedłużoną w tyle; przepinaną wielkiemi rozetami ze wstążki czarnéj. W koło tuniki nagarnirowana koronka. Do tego stanik z dwoma wielkiemi bawetami, zakończony koronką u dołu, przybrany chusteczką grenadinową. Rękawy szerokie, otwarte, podgarnirowane koronką.

Bardzo ładny kostium czarny kaszmirowy, odznaczał się oryginalnym gustem. Spódniczka ma z tyłu dwanaście wązkich falbanek, z przodu tylko cztery, na wierzch idzie fartuszek z materji czarnéj *gros faille*, rozcięty z przodu i spięty na kokardki, przedłużony śpiczasto po bokach. Stanik kaszmirowy, ubrany materją, spina się z przodu na kokardy. W tyle wielki karoczek w kształcie fraczka. Rękawy z epoletem, wązkie u ręki, wygarnirowane falbankami.

Inny kostium w niewarowym kolorze, składa się ze spódniczki fularowéj, z wolantami. Na wierzch idzie kaszmirowa tunika w tymże samym kolorze, haftowana u brzegu w zęby. Dwa końce przewiązują się w tyle. Kaftanik z karoczkiem z tyłu przystaje do figury, przody puszczone wolno. Rękawy szerokie zakończone zębami, równie jak i karoczek; na to zarzuca się pelerynka z kapturkiem.

W kołnierzykach widzimy też wielką rozmaitość. Strojniejsze do półotwartych staników z tyłu zachodzą na szyję, z przodu znacznie są przedłużone, ogarnirowane walansienką lub gipiurą. Rękawki do nich szerokie otwarte.

Do średniego ubrania, uważaliśmy kołnierzyki płócienne stojące z odwiniętemi klapkami, długie z przodu. W koło idzie muszlinowa falbanka, zakończona obrąbkiem; z tyłu tworzy fryzkę do góry, na przodzie zaś odwraca się w koło klapek. Mankiety stosownie ogarnirowane.

Codzienne kołnierzyki gładkie płócienne, odwinięte zawsze po bokach; klapki są dłuższe lub krótsze według woli.

Dodamy jeszcze parę słów o ślicznych czepeczkach panien Kuhnke. Wszystkie w ogólności wysokie, przypominają formę dzisiejszych kapeluszy.

Jeden z nich biały blondynowy, mocno nagarnirowany, ma szarfy długie ogarnirowane blondynką, nad czołem diadem z suchych liści, z boku wpięta róża (rose thé), blado różowa.

Inny blondynowy *à la Catalane*, przybrany wstążką różową z popielatem. Te dwa kolory razem bardzo dziś używane. Z boków upięte zgrabne kokardki. Szarfy z blondyny i koronki czarnéj, przepinane wstążką różową, ładnie dopełniają całości.

Śliczny czepeczek koronkowy czarny *Charlotte Corday*, z wysoką główką i woalikiem spadającym na plecy, należy do najoryginalniejszych. Szarfy różowe spuszczone po bokach; wielka róża zdobi go z lewéj strony.

Poważniejszy od tego czepeczek czarny koronkowy, ma z tyłu długi fanszonik, z boku bukiet fijołków, z długo spadającą gałązką.

Bardzo też ładny czepeczek biały blondynowy, ubrany szeroką wstążką Vert du Nil. Długi fanszonik pokrywa cały warkocz.

Zasługują również na uwagę, zgrabne negliżyki muślinowe białe, ugarnirowane nad czołem walansienką, przybrane fantastycznie wstążkami. Kolor *bleu malade*, powszechnie przyjęty do negliżowych czepeczków.

Na codzienne ubranie głowy, tak dla mężatek jak dla panien, używane dziś bardzo węzły alzackie. Jest to wielka kokarda ze wstążki szerokiéj z dwoma niedługiemi końcami, wpięta powyżéj niobów. Robią ją najczęściéj z czarnéj wstążki gros grain, może być także i kolorowa.

Dla starszych osób, widzieliśmy u panien Kuhnke, także węzeł alzacki, przepinany czarną koronką z szerokiemi końcami, które zasłaniają tył głowy.

Kryoliny teraźniejsze nadzwyczaj małe, turniury za to wielką rolę odgrywają w ubraniu. Widzieliśmy ich wielki zapas na różne ceny, pośród zakupów panien Kuhnke.

W wielkim doborze kwiatów, uderzyły nas szczególniéj piękne liście bluszczowe, w rozmaitych odcieniach, jakby zwarzone mrozem. Do najmodniejszych kwiatów należą wielkie róże, bzy, fijołki i polne maczki.

Seweryna D...

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Podczas gdy całe towarzystwo o jakieś młode małżeństwo zacięcie się spierało, przysunąłem się do Aspazji i rzekłem:

— Nie spodziewałem się, że w kilku dniach zabrnę w taki labirynt najsprzeczniejszych rzeczy, w którym napróżno szukam zbawczéj nitki Arjadny!....

— Takiéj nici panu nie dam, odpowiedziała śmiejąc się Aspazja, bo nie lubię klęczyć w kościele! Na stare moje lata modlę się z ławki do Pana Boga!

— Więc zostawiasz mnie pani samemu?

— To tylko jeszcze powtórzę, że w całym tym zawikłanym dramacie główną osobą jest—Albina!

Rzekłszy to przysunęła się do swojéj sąsiadki, zostawiając mnie własnym siłom i domysłom.

Przy pożegnaniu podała mi rękę i rzekła:

— Przypomniałam sobie, że mimo wiedzy pana, rozporządziłam twoją osobą. Towarzystwo dobroczynności uprosiło panią Albinę, aby zechciała mu dopomódz w pełnieniu miłosiernych uczynków. Z tego powodu, jutro albo pojutrze wybiera się pani Albina do obejścia kilku rodzin ubogich. Powiedziałam jéj, że pan pragniesz jéj towarzyszyć. Pominąwszy, że to samo przez się, jest dobrym uczynkiem, od którego nikt się z góry nie wyłamuje, miałam jeszcze i to na względzie, że taka przechadzka po przybytkach nędzy już dla samego widoku nie będzie dla pana obojętna.

Przyrzekłem jak najuroczyściéj, że obowiązku tego dopełnię z tem większą przyjemnością, że będę mógł zbliska patrzeć na osobę, która w téj chwili jest dla mnie—zagadką!

X.

Nazajutrz koło południa byłem już u pani Albiny. Albinę zastałem w salonie przeglądającą różne modniarskie towary, które leżały porozkładane po wszystkich stołach i krzesłach.

Z twarzą ożywioną, połyskującemi oczyma patrzała na arcydzieła sztuki modniarskiéj.

Nie było w jéj rysach najmniejszego śladu jakichś wzruszeń niemiłych, żadna mgła nie ćmiła téj wiecznéj zawsze majowéj pogody jéj uroczego uśmiechu.

Jak dziecię rozbawione cackami poskoczyła ku mnie, podała mi rączkę i rzekła:

— Widzę, że panna Aspazja ma dziwną władzę nad panem, jaką ja poszczycić się nie mogę. W innych warunkach miałabym ugruntowane podejrzenie...

— Każdy inny, odpowiedziałem, poddałby się chętnie takiéj władzy. jeśli posłuszeństwo jego byłoby uwieńczone nagrodą tak miłą.

— Ach! prawda... rzekła z ukrytym uśmiechem, wypełnienie dobrego uczynku jest samo w sobie już nagrodą. Mamy iść do ubogich.

Tu zatrzymała się chwilę i badawczem okiem spojrzała na mnie. Widziałem w tem spojrzeniu małą próżność kobiety, która odpierając wymierzony do niéj komplement, usiłuje go zwrócić w inną stronę na to tylko, aby znowu do niéj powrócił.

Zwróciłem rzeczywiście część tego komplementu pięknéj kobiecie, jaki się jéj rzeczywiście należał.

Widocznie uradowało ją to drobne zwycięztwo. Z wyrazem szczęścia i radości na twarzy podała mi powtórnie swoją piękną, alabastrową rączkę.

— Patrz pan, rzekła do mnie, jak nieocenionym jest Karol w swoich miłych niespodziankach. Zaledwie wczoraj pochwaliłam na wystawie w magazynie ten kostium fijołkowy... zaledwie kilkoma słowy wspomniałam o gustownym burnusiku pani Alfredowéj.... zaledwie napomknęłam mu o nowych towarach Włodkowskiéj—już dzisiaj wszystko leży przedemną do wyboru... Poczciwy, jedyny, nieoceniony Karol!

Prawdopodobnie wyraz ironii przebiegł po mojéj twarzy przy tych słowach, bo Albina zfałdowała piękne swoje czoło, wzięła prześliczną fijołkową materję do ręki, a ułożywszy ją w malownicze draperje rzekła do mnie głosem lekkiego wyrzutu:

— Pan jesteś naszym nieprzyjacielem! Wszyscy jesteście tacy. Zdaje się wam, że takie fraszki są niczem. A proszę mi powiedzieć czem byłaby dla was kobieta bez tych pięknych, cudownie pięknych fraszek? Patrz pan!

Kolor fijołkowy zamigotał w zgrabnych rączkach Albiny przecudnem światłem. Jéj oczy zaiskrzyły się.

Nie było rzeczą stosowną prawić w téj chwili jakieś morały pięknéj kobiecie. Wywinąłem się jak mogłem najzręczniéj z rzuconéj mi kwestji i zacząłem z wielką uwagą wraz z Albiną przeglądać przysłane towary i według gustu je oceniać.

Piękna kobieta była mi bardzo wdzięczną za okazaną uległość. Ze zręcznością magazynierki rozwijała kaszmiry i jedwabie, brała różne stroje na siebie i kazała mi je oceniać. Koronki, czepeczki, wstążki, stroiki wychodziły koleją z pudełek i przechodziły przed naszemi oczami jak wojsko znużone przed jenerałem i muzyką.

Patrzałem z uwagą na Albinę. Była temi pięknemi rzeczami tak zajętą, jakby prócz tych rzeczy nic innego na świecie nie było.

— Jakto! pomyślałem sobie, ta kobieta, tak szczęśliwa rozradowana w swoim małym świecie, miałażby być główną osobą smutnego dramatu? Miałożby jéj serce gwałtownem biciem swojem przebić te kosztowne kaszmiry i jedwabie i światu okazać się takiem, jakiem je Bóg bez kaszmirów i jedwabiów stworzył? Inaczéj bowiem nie wyobrażałem sobie dramatu, ani nawet żadnéj nowoczesnéj komedji!...

Kobieta, na którą teraz patrzyłem, nie była zdolną do żadnéj roli dramatycznéj. Ona prawdopodobnie nie zaznała nigdy najmniejszéj boleści, ona nie wiedziała nawet co łzy i pragnienia!..

Jakże inną była owa Albina, która owéj nocy jako duch zjawiła się przedemną! Jakąż boleść wyrażała wtedy jéj twarz. Jak gorzkie łzy płynęły z jéj oczu!.. Czyż miałaby ona mieć inną duszę dla świata a inną wtedy, gdy jest sama sobą?..

Na te zapytania nie miałem dotąd żadnéj odpowiedzi!

Służący, który teraz wszedł do salonu, zapowiedział Albinie, że już wszystko jest gotowe.

Na te słowa rzuciła Albina nagle kaszmiry i jedwabie, kazała podać sobie kapelusik i rzekła do mnie z widoczną niecierpliwością:

— Teraz trzeba ubogich uszczęśliwić, nie trzeba być egoistą, nieprawdaż? Jeżeli nam wszystko po myśli idzie, trzeba z naszego szczęścia jakiś procent udzielić tym, którzy są nieszczęśliwi.

Albina była teraz jeszcze piękniejszą!

Wpatrzyłem się w tę piękną kobietę jak błędny ptak w wschodzące słońce!

— I ta kobieta, pomyślałem sobie, mogłaby mieć jakieś tajemne zmartwienia i je przed światem ukrywać? Nie, to być w żaden sposób nie może!

I byłem nawet w téj chwili skłonnym do uwierzenia tego wszystkiego, co pan Piotr z taką pewnością na wieczorku u pana Pawła twierdził, że to wszystko tylko plotka, miejska plotka!...

— W miarę naszego szczęścia, ozwała się teraz Albina zawiązując kapelusik pod szyją, powinniśmy i biednym świadczyć! Nieprawdaż?... dzisiaj obsypano mnie takiem szczęściem, toż i dla biednych trzeba dzisiaj być szczodrobliwszą!

Rzekłszy to zawołała służącego i wydała mu nowe rozkazy co do prowiantu, który mieliśmy właśnie dla biednych wziąć ze sobą. Rozkazy te tyczyły się nawet rzeczy prawdziwie zbytkowych.

Za pół godziny byliśmy już w drodze ku alejom.

XI.

Dzień był pogodny i ciepły. Liczne tłumy snuły się po tem „corso" stolicy.

Albina była wesołą i rozmowną. Robiła różne dowcipne uwagi o przechodzących. Cieszyła się ja k małe dziecię tem życiem ulicznem wielkiego miasta. Tu zajął ją jakiś modny strój excentryczny, tam przypatrywała się z uśmiechem oryginałom stolicy, jakich za zwyczaj dostarcza poważny stan emerytów różnego rodzaju.

Zdążyliśmy ku „trzem krzyżom" i tam zawróciliśmy na ulicę Xiążęcą.

Zeszliśmy tą ulicą aż na dół. Poszedłszy przez pustą poprzeczną uliczkę zatrzymaliśmy się u bramy muru, który zdawał się otaczać jakieś pustkowie.

Dziwny uderzył mnie widok z téj bramy!

Nie spodziewałem się, że coś podobnego obaczę w stolicy kraju.

Były to obszerne ruiny dawnego pałacu. Dzieła sztuki, rzeźby i kolumny leżały tu malowniczo powalone na trawę porosłéj ziemi, jakby w cieniu jakiéj świątyni nad brzegami Nilu!..

Na kapitelu obalonéj kolumny siedział mały chłopczyk o jasnych blond włosach. Ciepłe jesienne słońce oświetlało malowniczo jego piękną główkę podobną do jednego z rafaelowskich aniołków. W ręku trzymał łodygę jakiejś rośliny i pozował z powagą jakby król na tronie.

Na widok pani Albiny porwał się szybko na nogi podbiegł ku nam, a spuszczając swoje mniemane berło, przywitał się z Albiną całując ją w rękę!

— Jak się masz Stasiu! rzekła do niego Albina całując go w głowę z wielką serdecznością—jak się miewa mama? Czy jest w domu?

— Mama nigdy z domu nie wychodzi! odpowiedział chłopczyk.

— Pójdźmy więc do niéj, mówiła daléj Albina biorąc chłopczyka za rękę.

Chłopczyk niechętnie podał jéj rękę, bo miał właśnie wielką ochotę wyskakiwać z radości na widok pełnego kosza, który za nami niósł służący. Prowadzony za rękę nie mógł już takich skoków robić, do jakich usposabiała go radość.

— Czy mama oczekiwała mnie dzisiaj? pytała w drodze Albina.

— Mama zawsze wspomina o pani, osobliwie gdy się modli, odpowiedział chłopczyk naiwnie.

Piękny wyraz przebiegł po twarzy Albiny...

Stanęliśmy wreszcie u drzwi małego domku, który w jednym rogu tych ruin przypierał do starego wysokiego muru.

— Mamo! Mamo! wołał chłopczyk na całe gardło, pani, nasza pani przyszła do nas!

Do sieni wyszła młoda, dwadzieścia kilka lat mająca kobieta w bardzo skromnym, ale schludnym ubiorze.

Twarz jéj była blada, rysy ostre. Na czole pomarszczonem nie było owéj pogody życia, jaką zazwyczaj dają dostatki i brak troski o jutro. Koło ust był nawet wyraz jakiś nieprzyjemny, oczy patrzały chmurno i ponuro.

Mimo tak niekorzystnego wrażenia, jakie na mnie ta twarz sprawiła, uderzyło mnie.... nadzwyczajne podobieństwo do Albiny!

Rysy bowiem twarzy, jakkolwiek wcale co innego wyrażały, i cała postawa przypominały mimowolnie Albinę.

Być może, że to była tylko gra światła, być może, że moja rozdrażniona wyobraźnia, która koniecznie coś nadzwyczajnego teraz ujrzeć chciała, była powodem, że ta kobieta wydała mi się podobną do Albiny. Przy bliższem bowiem wpatrzeniu się w tę twarz ostrą i dosyć zwykłą, zatracało się zwolna to podobieństwo a nawet zupełnie znikało.

Gdyśmy do małéj izdebki weszli, nie widziałem już między niemi żadnego podobieństwa.

Matka Stasia wydała mi się teraz zwykłą, prostą kobietą, w strój miejski dosyć zręcznie przebraną.

Izdebka, w któréj teraz byliśmy, stanowiła główny pokój mieszkańców. Była dosyć obszerna i widna. Sprzęty były skromne, ale czyste. Mała, szafirowa sofka stała pomiędzy oknami, a przed nią owalny stół jesionowy. Po kątach stało kilka krzeseł takąż samą materją obitych.

Najwięcéj zwracały uwagę obrazy, które prawie wszystkie cztery ściany od góry do dołu zakrywały.

Oprócz kilku dosyć słabych kopji znanych mistrzów wszystkie inne obrazy były po większéj części niewykończone. Jedne tylko naszkicowane, drugie podmalowane, a inne miały zaledwo główne kontury. Z pyłu jednak, który na nich osiadł, widać było że téj ręki już dawno nie ma która te obrazy pozaczynała!...

Na pierwszem miejscu wisiał portret młodego mężczyzny z dużą czarną brodą. Twarz mężczyzny była bladą i wyrażała jakiś smutek czy chorobę wewnętrzną. W błękitnych oczach było wiele rzewnego wyrazu. Jakaś skarga przemawiała z nich.

Był to obraz prawie najlepszy. Inne wskazywały tylko słabe usiłowanie artysty i były niejako malowaną kroniką jego fantazji.

Przedmiotem kilku obrazów była tylko, jak się zdaje swawolna igraszka światła, którego na raz dostarczały: słońce, księżyc i świeca!

Na jednym obrazie naszkicował artysta śpiącą na złotem wezgłowiu niewiastę z całym czarem wdzięków młodości i urody. Zdala wyglądał z półcienia zbliżający się ostrożnie młodzieniec w postaci strzelca. U stóp jego otwierała się jakaś przepaść straszna, któréj on jednakże nie widział wpatrzony w śpiącą piękność.

Rysunek obrazu był słaby, często niepoprawny. Były tylko usiłowania obrazu ale sam obraz nie bardzo wyszedł na korzyść artysty. Przedstawiał jednak chociaż niepoprawnie pewną myśl dosyć zrozumiale jak np. drzeworyty średniowieczne. Szczegóły były ale sztuki nie było.

Po tym romantycznym obrazie następowały historyczne. Była tam Chrzanowska ze sztyletem w ręku, Małgorzata z Żębocina zamurowana w wieży, a nawet mytyczna pani Twardowska na uczcie z djabłami.

Ze wszystkich tych i innych obrazów widać było, że artysta wiele pragnął i wiele myślał, ale za mało miał środków, aby te myśli należycie oddać w sposób plastyczny.

Smutek ogarnął mnie na widok tych słabych usiłowań człowieka, któremu jak widać brakowało wyższego talentu i potrzebnéj w tym zawodzie nauki.

Łatwo odgadłem tragiczny żywot takiego człowieka.

Podczas, kiedy tym obrazom z uwagą się przypatrywałem, rozmawiała pani Albina z biedną kobietą wypytując się o zdrowie, o Stasia i o zaopatrzenie na zimę. Albina była bardzo ożywioną i wypełniała dobroczynną misję z rozkoszą. Pieściła się z chłopczykiem jasnowłosym i co chwila go całowała.

Chłopczyk całował ją także po rękach i po twarzy a całował szczerze i serdecznie, bo właśnie wychodziły z kosza oprócz potrzebnych do życia rzeczy, jakieś wonne bakalje i przezroczyste konfitury...

— Pani jesteś dla nas aniołem! mówiła biedna kobieta, nie wiem, czem sobie na tak wielką łaskę zasłużyłam u Boga i pani!

— Widać że u Boga zasłużyłaś pani na opiekę, odpowiedziała z łagodnością Albina — a naszym obowiązkiem jest być zawsze z Bogiem!

— To też modlę się codziennie i téj saméj modlitwy uczę mego Stasia!

— Czy ty Stasiu umiesz modlić się? zapytała Albina chłopczyka.

— Umiem! odpowiedział z naciskiem chłopczyk i z ukosa spojrzał na soczyste winogrona.

— To módl się za ojca! dodała Albina.

Chłopczyk spojrzał na portret i posmutniał.

Wdowa wyszła teraz do spiżarki, aby resztę z kosza wypróżnić.

Widząc, że obrazami jestem zajęty rzekła do mnie Albina.

— Czy sądzisz pan, że nieboszczyk miał jaki talent?

— Talent miał, odpowiedziałem, ale zdaje się że był tylko amatorem a nie malarzem z nauki...

— To prawda, zgadłeś pan.. ale czy dojrzałby kiedy ten talent?

— Być może, gdyby się więcéj uspokoił. Dotąd widać w tych szkicach jakiś niepokój, pewną gorączkę... tworzył i urywał, zaczynał i porzucał.. Coś mu niedostawało do spokoju artysty....

Patrzałem z uwagą na Albinę. Jéj twarz nie zmieniła wcale wyrazu. Pogoda niczem niezamącona malowała się w jéj oczach!

Spojrzała na portret mężczyzny.

— To wizerunek nieboszczyka, rzekła tym samym czystym głosem; znałam go dobrze!

— Znałaś go pani?... Cóż to był za człowiek?

— Miał wiele dziwacznych, niepraktycznych fantazji.... jak pan sam widzisz!

— Nie mówię o artyście ale o człowieku.

— Ja także nie myślałam o obrazach..

Tu zbliżyła się do mnie i dodała półgłosem:

— Człowiek ładnie, wykształcony a ożenił się — jak pan widzisz — ze zwykłą szwaczką!

— Czy ta kobieta bez żadnego wykształcenia?

— Zwykła szwaczka nic więcéj!

— Jakiż miał powód do tego?

Albina ruszyła ramionami.

— Fantazja dziwaczna! odpowiedziała.

Wdowa wróciła z próżnym koszem.

Albina uściskała serdecznie a nawet z pewną namiętnością, jakiéj u niéj dotąd niepostrzegłem, małego chłopczyka, pożegnała wdowę i śród gorących podziękowań matki i syna opuściliśmy ubogi przybytek wyjątkowéj nędzy,

W powrocie do domu kilkakrotnie stawiałem Albinie pytanie tyczące się biednéj wdowy i nieboszczyka, ale jéj odpowiedzi były tak pobieżne i ogólnikowe, że z nich nic skorzystać nie mogłem.

Mógłbym ją nawet posądzać, że wypełniwszy wzorowo misję dobroczynną, zostawiła już przedmiot téj misji daleko za sobą, zbliżając się tem samem do kaszmirów i jedwabiów, które na nią w domu niecierpliwie czekały!

— Ta kobieta jest gruntownie szczęśliwa, w zwyczajnem znaczeniu tego słowa, — pomyślałem sobie gdym się z nią żegnał przy bramie domu, — ona umie żyć i używać życia z wszelką oszczędnością i wyrachowanem gospodarstwem!. Wizja moja spirytystyczna była fałszem!

— Czy pan nie będziesz dzisiaj u państwa Pawłów? zapytała z sieni swoim dźwięcznym metalicznym głosem.

— Będę dzisiaj pracą zajęty! odpowiedziałem zgryźliwie, bo jakaś złość tajemna opanowała mnie.

— Szkoda!.. Mam właśnie wystąpić z produkcją w stylu komicznym!.. Czy pan lubisz Offenbacha!

— Żegnam panią, bo jest przesąd, aby przez próg nierozmawiać!.. Mogłoby się stać znowu jakie nieszczęście?

— Znowu jakie nieszczęście?

— Podobne może do przypadkn pana Adolfa!

— Ah! prawda!. Ha, ha! ha! Masz pan słuszność, *adieu*!

Jeszcze raz po wysokiem sklepieniu sieni rozległ się śmiech wesoły, rozległ się tym samym dźwiękiem metalicznym, który mile pieścił ucho, ale miał w sobie coś nieokreślonego, coś ze srebra, żelaza lub stali!....

XII.

Gdym się żegnał z Albiną, powiedziałem, że będę dzisiaj pracą zajęty.

Chciałem dotrzymać słowa, chciałem w pracy utopić niemiłe myśli które mnie przez te kilka dni nieustannie prześladowały — ale w żaden sposób nie mogłem!

Brałem jedną książkę po drugiej, ale żadna nie mogła zająć całej mojéj uwagi. Pomiędzy wierszami książki były jakieś inne tajemniczem pismem pisane wiersze, których odczytać nie mogłem.

Po bezskutecznem pasowaniu się z sobą, porzuciłem książki i wróciłem myślą znowu do przedmiotu, który tajemniczym sposobem cały mój umysł ogarnął.

Gdybym wierzył w ograniczenie wolnéj woli człowieka, gdybym wierzył, że myślami naszemi i wolą naszą kieruje jakaś wyższa potęga której my tylko posłusznem narzędziem jesteśmy; byłbym tego pewny że w téj chwili ulegam wpływowi jakiéjś siły niewidoméj, która koniecznie każe mi szukać wątku nici podanéj do ręki.

Niepokój nie dawał mi spoczynku, gorączka trawiła mnie. Popychało mnie coś ustawicznie na drogę z któréj już zejść chciałem. Dziwne przeczucie

obiecywało mi, że idąc tą drogą wynagrodzony będę na ostatku za moje trudy i niepokoje!

Musiałem więc chcąc niechcąc wrócić znowu myślą do Albiny i do tego, co do niéj się wiązało.

Przypomniałem sobie wszystkie szczegóły ostatnich wydarzeń; odnowiłem jak mogłem najwierniéj w pamięci wszystko to, co na owym wieczorku widziałem i słyszałem, przeszedłem potem z kolei do rozmów u Aspazji i szczegółów obiadu u państwa Karolów, i uznałem w końcu, że tak starannie rozsnuta dotąd nić nie może się tutaj urwać i że koniecznie daléj rozwijać ją trzeba.

Jakaż jednak mogła być droga do tego wątku?

Aspazja nie chciała się wdawać w wyjaśnienie bliższych szczegółów i prawdopodobnie miała do tego pewne powody, o których nie wiedziałem.

Potrzeba więc było szukać samemu wątku w wydarzeniach ostatnich dni.

Między temi niepoślednie miejsce zajmowała dzisiejsza nasza przechadzka na ulicę Xiążęcą.

Wiele szczegółów składało się na to, aby w ubogiem mieszkaniu wdowy szukać dalszego wątku.

Najprzód Albina znała nieboszczyka, ubolewała nad jego dziwaczną fantazją i z widocznem wzruszeniem pieściła się z pozostałą sierotą.

Powtóre między nieboszczykiem, który ślady swoich myśli i marzeń pozostawił w naszkicowanych obrazach, a pozostałą po nim wdową zachodziła pewna rażąca nierówność wykształcenia.

Do tego przyłączało się jakieś dziwne podobieństwo wdowy do Albiny, które wprawdzie mogło być tylko grą rozdrażnionéj mojéj wyobraźni, mimo to jednak przyłączyło się do wyż wymienionych powodów, które kazały mi dalszego wątku szukać na ulicy Xiążęcéj.

Zebrawszy to wszystko razem postanowiłem zaraz nazajutrz korzystać z téj nowéj drogi, która dzisiaj otworzyła się przedemną.

Do tego dodać jeszcze należy, że prawdopodobnie Aspazja tę drogę przedemną odsłoniła, chociaż uczyniła to bardzo zręcznie.

Ułożyłem więc sobie, że zaraz nazajutrz pójdę pod jakim bądź pozorem do wdowy i tam postaram się o możliwe wyjaśnienia.

Nazajutrz rano przygotowałem się do téj wycieczki. Wziąłem z sobą kilka książek obrazkowych dla małego Stasia, które miały służyć za pozór mojich odwiedzin.

I kiedy właśnie już wyjść miałem na ulicę, wszedł do pokoju służący Aspazji i wręczył mi list od niéj.

List Aspazji był następującéj treści:

— „Wczoraj po południu przyszła do mnie wdowa, u któréj byłeś pan z Albiną i prosiła mnie, aby w jéj imieniu zażądać pańskiéj pomocy. Dowiedziała się bowiem, żeś autorem i dla tego prosi pana, czybyś nie mógł przez swoje stosunki z pismami publicznemi dopomódz jéj do spieniężenia tego, co nieboszczyk po sobie zostawił. Być może, że znalazłby się jaki amator na produkta talentu nieboszczyka. Chciéj pan zatem ją w wolnym czasie odwiedzić i z nią w tym względzie porozumieć się. Nie sądzę, aby jéj nadzieje uwieńczone były pomyślnym skutkiem, gdyż wszystkie produkta talentu nieboszczyka które widziałam, nie mają wielkiéj wartości artystycznéj, wypełniam jednak jéj prośbę i proszę abyś pan także i moją wypełnić raczył. Aspazja."

List ten przeczytałem kilka razy i zamyśliłem się. Miał on dla mnie jakieś inne, tajemnicze znaczenie. Nieograniczał on się na tych kilkunastu wierszach zapisanego papieru—po za temi wierszami widziałem coś więcéj!..

Jakoż nieodwlekając ani na chwilę powziętego postanowienia ruszyłem natychmiast na Xiążęcą ulicę.

Wdowę zastałem przy szyciu — chłopczyk bawił się gdzieś w ruinach.

Powitała mnie uprzejmie i przeprosiła, że chce mnie trudzić swoim interesem.

Potem zaczęliśmy mówić o interesie, a ja starałem się prowadzić tę rozmowę w ten sposób, aby z niéj jak najwięcéj światła wydobyć dla mojéj ciekawości.

Rozmowa ta jednak sprawiła na mnie smutne wrażenie. Tem więcéj jednak zainteresował mnie nieboszczyk.

Kobieta z którą teraz rozmawiałem, nie miała prawie żadnego wykształcenia. Ubiór jéj zbliżał ją wprawdzie do mieszkańców miasta stołecznego, było w nim nawet trochę kobiecéj, zgrabnéj kokieterji— ale po za tym ubiorem był umysł nadzwyczaj ubogi.

Ubóstwo to nie jest tak rażące u ludzi, zostających w bezpośrednich stosunkach z naturą. Kobieta z ludu wiejskiego może być nawet bardzo ubogą co do zasobów umysłowych, ale ubóstwo to objawia się w sposób bardzo naturalny i wcale nie rażący

Tymczasem kobieta z miasta, która zamiast umysłowego wykształcenia, pochwyta tylko mnóstwo zewnętrznych foremek miejskiego świata i niemi jak prosta wrona pawiemi piórkami się wystroi, sprawia przy bliższem poznaniu wrażenie przykre i wstrętne.

Podobną ona jest do proletarjusza, który pozbieranemi na śmiecisku miejskiem gałganami okryje swoje łachmany brudne i roztrzępione.

Wprawdzie te gałgany są odpadkami odzieży bardzo przyzwoitéj, ale nie są samą odzieżą!

Nie ma nic bardziéj rażącego, jak pod pokostem wyższéj cywilizacji umysł nizki, wlokący za sobą błoto najniższego poziomu....

Mniéj więcéj takie wrażenie sprawiła na mnie kobieta, z którą obecnie rozmawiałem.

O nieboszczyku dowiedziałem się od niéj bardzo mało.

Powiedziała mi, że był malarzem, gdy się z nią ożenił przed kilkoma laty.

Poznał ją, gdy służyła u jakiegoś państwa „za pannę" i póty nie dał jéj spokoju, póki za niego nie poszła.

— Zrazu powiedzieli moi znajomi, mówiła daléj, żem zrobiła wielki los—ale wkrótce okazało się, żebym lepiéj była wyszła, gdybym była poszła za kucharza księcia***, który się do mnie zalecał, który dzisiaj ma intratną bawarję pod Powązkami i co niedziela dorożką do Łazienek jedzie!...

— Dla czegoż pani wybrałaś malarza? zapytałem·

— Ot byłam głupia i zdawało mi się, że to większy honor dla mnie, bo przecież żona lakiernika od Brühla w jedwabnéj sukni do teatru chodzi!

— Czyż nieboszczyk nie miał za co jedwabnych sukni sprawiać?

— Gdzie tam! Był człowiekiem dziwnéj natury. Zamiast naprzykład zaprowadzić mnie na teatr z małpami, co to jakiś niemiec z sobą przywiózł, poszedł ze mną za miasto w najodludniejsze miejsce i tam pokazywał mi łąki i potoki!.. Albo te obrazy, co po całych dniach malował! Pożal się Boże! Siedział, malował—a w domu jeść nie było. Mówiłam mu nieraz, aby poszedł do Brühla i tam karety malował. Przecież miałby z tego zysk jaki, niżeli tyle płótna napsuć, czego nikt dzisiaj kupić nie chce!... Ale słowa moje gniewały go tylko i ztąd była często wielka obraza boska!...

Westchnąłem za spokój duszy nieszczęśliwego.

— I któż dopomagał wam w tem nieszczęściu? zapytałem.

— Zrazu było jeszcze jako tako. Nieboszczyk nawet z początku sprawił mi pyszną suknię jedwabną cynamonowego koloru i kazał ją zrobić u najpierwszéj modniarki. Kosztowała przeszło pięćset złotych. Kazał mi się często ubierać w tę suknię, chociaż nikogo w domu nie było, i całemi godzinami patrzał na mnie!.... W saméj rzeczy była to bardzo ładna suknia.

— I trwało to długo?

— Trwało to rok. Potem gdy zaczął chorować na smutek i często był tak zły, że nie można było do niego przystąpić, to wzięłam tylko te suknię na siebie, a on klękał przedemną, całował mnie po rękach i płakał jak małe dziecko!...

Zamyśliłem się nad tem opowiadaniem wdowy biednego artysty. Spojrzałem na portret wiszący na ścianie przedemną i starałem się z rysów nieboszczyka doczytać to, czego wdowa nie umiała dopowiedzieć....

Rozmowa nasza przeciągła się jeszcze dosyć długo, ale prócz narzekań na świat i nieboszczyka, obok którego często występował szczęśliwy kucharz a dzisiaj właściciel bawaryi pod Powązkami, nic szczególnego dowiedzieć się nie mogłem.

Albinę poznała wdowa dopiero po śmierci męża i nie miała dosyć słów, aby jéj miłosierdzie wychwalić.

Wreszcie przystąpiłem do interesu. Obejrzałem jeszcze raz wszystkie obrazy, czy które nie dałyby się spieniężyć, ale nadzieja była bardzo słaba.

Zapytałem czy nieboszczyk nie zostawił jakiegoportretu kobiety, i odebrałem smutną wiadomość, że takiż portret istniał rzeczywiście, ale sprzedano go jakiemuś perukarzowi z prowincji na godło do pracowni!

— Mówiono mi, ozwała się w końcu wdowa, że kiedy za te obrazy nic wziąć nie można, to może dałby kto co za plik papierów, które nieboszczyk sam swoją ręką pisał!

— Nieboszczyk pisał? zapytałem z radością.

— Oj pisał, pisał, po całych dniach i nocach! Gdyby tyle w cyrkule pisał, toby miał pensją, a on Bóg wie, po co to robił!

— Czy czytałaś pani te papiery?

Wdowa zarumieniła się lekko.

— Ktoby tam panie pisanego tyle czytał. Gdyby to było drukowane, to możeby i wzięła ochota. A tak ot gnije tam na strychu!

Westchnąłem teraz drugi raz za spokój duszy nieboszczyka!..

— Czybyś nie mogła pani udzielić mi tych papierów?

— O jak najchętniéj! Zaraz panu przyniosę!..., mówili mi, że może za to co mieć można, i że pan najlepiéj potrafi osądzić.

— Czy dawałaś je pani komu czytać?

Wdowa zawahała się z odpowiedzią.

— Tak... czasami, to przepatrywano te papiery, ale może nikt się na nich nie znał.

Za kilka chwil z grubym plikiem papierów pod pachą szedłem szparkim krokiem ku domowi, aby tam jak najprędzéj z ich treścią się zapoznać.

Serce moje biło do tych papierów jakby do najlepszych przyjaciół.

(d. c. n).

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA.

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Doktór roześmiał się głośno, ale w téjże chwili ustała jego wesołość i niespokojnie pobiegł do okna.

— Co to jest? Fryderyk już powraca i tak spiesznie! Co się temu chłopakowi stało? Wygląda strasznie zmięszany.

Był to rzeczywiście Fryderyk, który kłusem pędził przez ogród i z takiem wzruszeniem wpadł do pokoju, że nawet obecność groźnéj zawsze dla niego amerykańskiéj panny i jéj niecierpianego przez niego towarzystwa, nie zwróciła jego uwagi.

— Co to znaczy? zawołał doktór niespokojnie. Co ci jest Fryderyku? Co się stało?

— Tak jest! jąkał się Fryderyk, nie mogąc tchu złapać. Stało się coś....pan profesor....

— Nieszczęście jakie? Gdzie? Na kolei żelaznéj czy w mieście H? Gadajże! nalegał profesor, rzeczywiście już zatrwożony

— Tam, w H. wymówił nareszcie zrozpaczony Fryderyk. — Pan profesor....musi także iść z nami na wojnę jutro już odchodzimy.

Następstwem tych słów było w obecnéj chwili grobowem milczenie. Jenny odstąpiła od okna i wpatrzyła się w posłańca, jak gdyby na prawdę zwątpiła o jego rozumie, doktór stał niby piorunem rażony. Atkins zaś odezwał się po chwili głosem stłumionym.

— Teraz brakuje już tylko uczonéj prelekcij pana Fryderyka.

— Toć już chyba moi koledzy wojskowi oszaleli, zawołał nareszcie doktór z gniewem. Profesora Fernow uznać za zdolnego do służby! Mojego pacjenta, któremu od trzech lat nic poradzić nie mogę! Na imię boskie, jakim się to stało sposobem?

— Ja nie wiem, jak się to stało, mówił Fryderyk-którego trwoga i wzruszenie niezwykłą natchnęły wymową, ale mój pan sam temu jest winien. Stałem tuż przy nim, kiedy jeden z doktorów spojrzał na niego z ukosa, ruszył potem ramionami i powiedział: Z panem przecież nie mamy co robić. Pan nawet broni nie udźwigniesz! Bogu tylko wiadomo, dla czego pan profesor niezmiernie źle to przyjął; nagle zaczerwienił się jak wiśnia po same uszy, spojrzał na doktora, jak gdyby go połknąć chciał, i zawołał głośno: Proszę przynajmniéj o zrewidowanie mnie! Jeżeli tylko o to idzie, zrobimy swoje: odpowiedział naczelny sztab-lekarz, i zbliżył się do pana....

— To był naczelny sztab-lekarz! przerwał Stefan. Powinienem się był domyśleć, bo on każdego zabierze, kto nawet po pierwszym marszu w lazarecie się zatrzyma. Cóż daléj?

— Ha! daléj pytano się: Czyś pan chory na co? Nie! odpowiedział pan profesor i zaciął zęby, bo ci wszyscy panowie wpatrywali się w niego jak w tęczę. Przytem wyprostował się jak struna, a czerwony był strasznie, że wcale a wcale nie wyglądał na chorego. Daléj naczelny lekarz obmacał go dokoła i rzekł ostatecznie.

— Głupstwo, panowie koledzy; nie możemy teraz bardzo wybredzać, piersi i płuca są jeszcze zdrowe; to trochę osłabienia jest tylko skutkiem braku ruchu. Pan pójdziesz pod karabin i dosyć. Myślałem że mnie paraliż ruszy, a pan profesor tak odetchnął, jak gdyby mu piersi pęknąć chciały.

Doktór zaczął gwałtownie przechadzać się po pokoju; nareszcie i Atkins wmięszał się do rozmowy.

—Nie bierz mi pan za złe, konsyljarzu, ale to jest genjalny figiel pańskiego kolegi, graniczący niemal z szaleństwem. Co to jest ściągnąć chorego na suchoty profesora z katedry, ażeby go do wojska oddać to już nie do uwierzenia! Piękny mi wojownik.

— Fernow suchotnikiem nie jest! rzekł doktór stanowczo. O tem mój kolega wie równie dobrze jak ja, a jego cierpienia nerwowego mógł zwłaszcza w chwili jakiegoś rozdrażnienia nie dopatrzyć, bo na to potrzeba dłuższego trochę badania. Położenie urzędowe nie zasłania wcale profesora, który jest w jednym wieku z Fryderykiem. Gdybym się mógł spodziewać, byłbym zaradził wszystkiemu, dając im niektóre wskazówki, i to Bóg świadkiem z najczystszem sumieniem, ale któż to mógł przewidzieć! Przysięgam że toć u nas w B. nie byłoby się nic podobnego przytrafiło. Teraz już jest zapóźno.

— Ależ, panie doktorze—Fryderyk ze śmiertelną spojrzał nań trwogą,—pan profesor nie może pójść z nami. Pan wiesz, że on ani silniejszego przeciągu powietrza, ani gorąca, ani zimna znieść nie może że dla niego oddzielnie gotować trzeba, i że raz bez parasola tylko wyszedłszy ciężko się rozchorował. Mój Boże kochany, on nam w pierwszym zaraz tygodniu umrze.

— No, no, uspokój się Fryderyku! rzekł pan Stefan chcąc pocieszyć wiernego sługę. Zobaczymy co się da zrobić. Cofnąć tego, co się stało nie można, ale może się uda przenieść twego pana do łatwiejszej służby, do jakiego biura, albo też do jednego z zarządów administracyjnych. Ja przedsięwezmę odpowiednie kroki, ale przedewszystkiem muszę się z nim osobiście rozmówić. Wszakże on razem z tobą powrócił?

— Tak jest! odpowiedział Fryderyk odetchnąwszy swobodniéj. Ja tylko wybiegłem naprzód.

— Dobrze więc idź teraz i uporządkuj twoje własne rzeczy. To i pan odchodzisz, panie Atkins?

— Tylko na jeden kwadransik,— dla ochłodzenia się. Czuję rzeczywiście niezbędną potrzebę przekonania się, czy tutaj w B. jest jeszcze cośkolwiek coby nie stało nogami do góry. Zdaje mi się, że Miss Forest tegoż samego doznaje uczucia. Czy pani nie raczysz mi towarzyszyć?

— Jestem....bardzo zmęczona.

Dziewica rzuciła się na fotel, oparła głowę na ręku i tym sposobem zasłoniła twarz od dalszego badania.

— Jenny jest dzisiaj szczególnego humoru! rzekł doktór, odprowadziwszy Atkinsa na balkon. Ani jednego słowa wydobyć z niéj nie można. Zdaje mi się, że od dwóch tygodni zmieniła się niezmiernie. Czy pan nie wiesz czasem przyczyny tego dziwnego jéj usposobienia?

— Przyczyna jest na teraz w Paryżu, pomyślał Atkins w duszy, ale głośno odpowiedział bardzo obojętnie. Domyślam się, że Alison, młody nasz współrodak, któregom niedawno do domu państwa wprowadził, przyniósł pannie Forest listy i wiadomości od jednej z bliższych jéj znajomych, które ją tak rozstroiły. Tak mnie przynajmniéj objaśniono.

— Tak? W takim razie to rzecz naturalna. Dorzucił doktór dobrodusznie. Obawiałem się już, że może w moim domu lub w naszem towarzystwie znalazło się coś takiego, co jéj humor tak popsuło.

Tymczasem Jenny pozostała nieruchoma na swojem miejscu. Wkrótce dzwonek odezwał się powtórnie, ale tym razem ciszéj jak poprzednio, a zaraz potem rozległ się w sieni odgłos kroków męzkich, na które przecież panna Forest nie zwróciła wcale uwagi i dopiero kiedy się drzwi do pokoju balkonowego otworzyły, zerwała się nagle. W tych drzwiach stanął profesor Fernow. Od owego wieczoru na górze zamkowéj nie widzieli się jeszcze z sobą, gdyż on rzeczywiście starał się jak najusilniéj, ażeby się ich drogi nigdy nie spotkały, a wytrwałość z jaką wszelkiego zejścia się w domu i w ogrodzie unikał, przewyższała tylko takaż sama ze strony Jenny usilna chęć, dotrzymania danego sobie saméj przyrzeczenia. Po tych dwóch tygodniach, w ciągu których najzimniejszem powitaniem ani nawet przelotnem spojrzeniem nie zaczepili o siebie, teraz stali oboje niespodziewani przed sobą sami jedni i tak blizko jedno drugiego, że niepodobieństwem było, wyminąć się bez zamiany jakiegoś słówka przynajmniéj.

Jenny zerwała się tedy z krzesła. Cokolwiek jeszcze przed chwilą myślała o tym człowieku, któremu i dumy jego i swego upokorzenia dotąd przebaczyć nie mogła, wszystko to pierzchło teraz od jednego razu. Dawne nieprzyjazne uczucie odezwało się znowu w jéj duszy z całą swoją gwałtownością. Dla czego on teraz zjawił się nagle w mieszkaniu jéj wuja, do którego dawniéj nigdy nie wchodził, tu właśnie gdzie powinien był przewidzieć że ją spotkać może? Czy on to przybył dla niéj? Dziewica stanęła gotowa do nowéj walki z postanowieniem oparcia się wszystkiemi siłami potędze, przed którą tym razem z pewnością się nie ukorzy.

Lecz ten jéj heroizm był na teraz przynajmniéj zupełnie zbytecznym, bo inaczéj się stało. Profesor ciągle jeszcze stał na progu, wzrok jego błądził po całym pokoju, tylko na niéj ani razu się nie zatrzymał.

— Przepraszam, szukałem doktora Stefana.

— Mój wuj jest w ogrodzie.

— Dziękuję.

Zamknął drzwi za sobą, i nie spojrzawszy nawet na nią przeszedł przez pokój na balkon. Czoło Jenny żywym oblało się rumieńcem; przygotowała się na jakąś napaść a tymczasem nie spojrzano nawet na nią, to już było więcéj niżeli ona znieść mogła i ręka jéj konwulsyjnie pochwyciła za poręcz krzesła.

Jednocześnie profesor spotkał się zaraz we drzwiach balkonu z wracającym do domu doktorem, który zawołał radośnie. Jesteś pan nareszcie, kochany profesorze, na Boga żywego co pan dokazujesz? Fryderyk przeraził cały nasz dom wiadomościami o tobie!

I ująwszy go za rękę, wciągnął bez ceremonji do pokoju.Fernow nie życzył sobie tego bynajmniéj, gdyż z widocznym oporem postępował za nim i nie zważając na ofiarowane sobie krzesło nie usiadł wcale.

Jenny podniosła się w milczeniu i wyszła z pokoju. Doktór zdziwiony i z wyraźnem niezadowoleniem spojrzał za nią, gdyż taka niegrzeczność dla jego lokatora zaczynała już w jego oczach wszelkie przechodzić granice. Usta profesora drżały mimowolnie, ale niczem nie okazał, że ten postępek dziewicy spostrzegł.

Tymczasem panna Forest w przyległym zaraz pokoju zatrzymała się, i oparta na oknie w ponurem gniewnem pogrążyła się dumaniu. Nie chciała ona w jednym pozostać pokoju z człowiekiem, który sobie pozwalał na nią i na gniew jéj nie zważać, lecz mimo to wszystko, chciała przynajmniéj wiedzieć czego on mógł żądać od jéj wuja, i dla tego też przez przymknięte drzwi chwytała każdy wyraz rozmowy, którą doktór formalnem zagaił kazaniem.

— Przedewszystkiem powiedz mi pan, czy ten Fryderyk rozum stracił, czy też prawda, że pan uznany zostałeś za zdolnego do służby? Że sam to wywo-

łałeś, że się za zdrowego podałeś gdy tymczasem jedno tylko słówko, albo samo nawet milczenie dostatecznemi było do zbicia tego wszystkiego? Słychanaż to rzecz?

Profesor spuściwszy oczy, odpowiedział głosem cichym: Było to chwilowe oburzenie, ja sam byłem przekonany że mnie odrzucą, ale to litościwe, ubolewające poruszenie ramionami doktora wyprowadziło mnie z wszelkiego umiarkowania. Widzieć się sam jeden jakby niedołęga jaki, odprawionym do domu kiedy wszystko do walki spieszy, tego znieść nie mogłem. Szaleństwo to z mojéj strony, które pewnie życiem przypłacę, ale gotów jestem jeszcze i drugi raz je popełnić!

— Zdaje się, że pan niekiedy szczególne miewasz uniesienia, nadmienił doktór spoglądając na leżącą przed nim gazetę. Ale o tem potem, teraz głównie idzie o to, jakim sposobem głupstwo... no, no, nie żżymaj się pan tak zaraz, chcę mówić o naczelnym sztab-lekarzu, — jakim tedy sposobem to głupstwo doktora E. naprawićby można. Nagadam ja mu dobrze! Sam pojadę z panem do H. gdzie on wpływem swoim i stosunkami musi mi to wyjednać, ażeby pana do służby biórowéj odkomenderowano. Tam w koniecznéj potrzebie wytrzymasz pan jeszcze, bo trudnoby już teraz było wycofać się zupełnie.

W twarzy profesora znowu zapłonął ów zwiastujący jakąś burzę rumieniec: czoło zachmurzyło się posępnie, a w głosie jego drżało wyraźne gniewne rozdrażnienie.Dziękuję panu za te dobre chęci, ale przymuszony jestem prosić o zaniechanie wszelkiego z pańskiéj strony wstawiennictwa. Powołany jestem do służby z bronią w ręku i wezwaniu temu posłuszny będę z całą ścisłością.

Doktór wlepił w niego oczy z niemem zdumieniem. Przyzwyczajony on był do bezwarunkowego poszanowania swéj władzy przez tego pacjenta i więcéj jeszcze do cierpliwéj jego uległości, a on śmiał teraz jawnie buntować się przeciwko postanowieniu dla jego własnego dobra. Tego było już za nadto dla doktora i obrażony, stał się niegrzecznym.

— Pan chyba oszalałeś! zawołał z gniewem. *Pan* chcesz z bronią w ręku służyć? *Pan*? Nie, to przechodzi wszelkie pojęcie.

Profesor milczał, ściskał tylko zęby, jak to Fryderyk poprzednio opisał, i z silnie zapłonionem obliczem wpatrywał się w doktora takim wzrokiem, że ten zupełnie innym głosem do niego mówić zaczął.

— Wymień mi pan jeden powód, jeden tylko rozsądny powód do takiego szaleństwa; rzekł niemal błagając. Czy to pan nie możesz ojczyznie równie dobrze piórem swojem służyć, jeżeli ci to już raz w głowę wjechało? Dla czego pan nie chcesz przyjąć służby biórowéj? powiedz pan, dla czego?

— Bo nie chcę.

— Jesteś pan uparty! zawołał Stefan, nowym zapalając się gniewem. Masz pan w tym względzie szczególne podobieństwo z moją siostrzenicą. Ja nie chcę! Niechaj wtedy cały świat przeciwko wam wystąpi, wszystko na nic się nie zdało! Słowo w słowo toż samo co moja Jenny, nawet ton jéj mowy, jak gdybyś się pan tego wszystkiego od niéj wyuczył. Jedno jak drugie! doskonała by z was była para.

— Doktorze, proszę bardzo uwolnić mnie od tych niedorzecznych żartów! zawołał Fernow z gniewem uderzając nogą o posadzkę.

Doktór stanął jak wryty w obec takiego objawu silnéj woli swego potulnego niegdyś pacjenta; po chwili jednak rzekł z wyrazem szczerego podziwienia.

— Zdaje mi się, że teraz umiesz pan już nawet być niegrzecznym.

Profesor zmarszczył czoło i odwrócił się.

— No, wszakże to był tylko żart! dodał Stefan, chcąc się niby usprawiedliwić. Wiadomo mi przecież, że z moją siostrzenicą jesteście prawie na stopie wojennéj, ale pofesorze, stajesz się teraz dziwnie gwałtownym! Uważam mianowicie, że od dwóch miesięcy zmieniłeś się niezmiernie.

Fernow i na ten zarzut nie odpowiedział ani jednego słowa w swojéj obronie, milczał uporczywie.

— Wracając jednak do głównego przedmiotu, mówił daléj doktór półgłosem. Pan nie chcesz przyjąć mego wstawiennictwa?

— Nie.

— I rzeczywiście jutro chcesz pójść razem z drugimi?

— Bezwarunkowo.

— Trudno—przymusić pana nie mogę, i skoro już inaczej być nie może, tu i w sercu doktora przemogło uczucie patrjotyczne; wyciągnąwszy bowiem rękę serdecznie dodał: więc idź pan w imię Boże! Kto to wie? Może też ten Sztabslekarz ze swoim gwałtownym środkiem, mędrszym jest od nas wszystkich, bo dowiódł przynajmniéj jednej rzeczy, któréj pan nigdy wierzyć nie chciałeś, że nie jesteś ani suchotnikiem, ani też żadnej innéj zdeklarowanéj choroby nie masz i twoje nerwy.....przypominasz pan sobie com ci przed czterma tygodniami radził?

Professor podniósł oczy na doktora i rzekł cicho: Jakiś środek gwałtowny.

— Tak, nie inaczéj! Kuracja radykalna, któréj się pan wtedy wyląkłeś. Na ciężkie życie wyrobnika zgodzić się nie chciałeś a teraz, nie pytając mnie o zdanie, rzucasz się w odmęt i trudy życia wojennego. Rzecz naturalna, że takiego gwałtownego środka nie byłbym panu doradzał, bo nie możemy go zaprzestać jeżeli doza okaże się zbyt mocną; tu trzeba albo się zgiąć albo złamać. Ale skoro się już pan odważasz — daj ci Boże szczęście!

Profesor uśmiechnął się smutnie. Nie wielkie mam zaufanie w téj krwawéj i żelaznéj kuracji, odpowiedział spokojnie. Że polegnę, czuję to; czy z ręki nieprzyjaciela, czy w skutek niezwykłych wysileń, — wszystko mi jedno, w każdym razie prędzéj i lepiéj niż po kilkoletniem może konaniu przy mojem biórku. Nie pozbawiaj mnie pan tego przekonania, kochany doktorze; jest to najlepsze, co z sobą zabieram, bo wiem przynajmniéj, że i ja przyniosę dla świata pewien pożytek!

— Dajże mi pan pokój ze swemi przeczuciami śmierci, zawołał doktór na prawdę rozgniewany. Umrzeć — co za szaleństwo! My tutaj w B. wymawiamy to sobie wyraźnie. Więc pan dla świata jesteś niepożytecznym? Nie napisałeś to dzieła, którem wszyscy uczeni zostali zdumieni?

Na licach profesora odbiło się coś na kształt bolesnéj goryczy.

— Dzieło, które dla reszty świata jest i pozostanie martwą zadrukowaną bibułą?

— Doprawdy? a ten artykuł, któryś pan dzisiaj rano w gazecie zamieścił czy i to także zadrukowana bibuła? Tak gniewaj się pan teraz, że ja wiem o tem, że wie całe miasto, a uniwersytet także — profesorze, od czasu jakieś taką rzecz napisał, uważam już w tobie wszystko możebnem, o niczem już wątpić nie mogę!

Zaledwie Fernow te ostatnie słowa usłyszał, wzrok jego podążył za ręką doktora która na wspomnianą dopiero gazetę wskazywała; w oczach jego zabłysło nagle jakby głębokie, pełne zadowolenie — gazeta bowiem leżała na fotelu, na którym przed chwilą jeszcze Jenny siedziała.

— I wstydzić się pan powinieneś, mówił Stefan w coraz większy wpadając zapał, wstydzić się pan naprawdę powinieneś tak upadać na duchu, kiedy piórem twojem tysiące ludzi do najzwnioślejszego uniesienia porywać możesz.

Oblicze profesora zachmurzyło się znowu smutnym wyrazem goryczy:

— Piórem! powtórzył zwolna. Pióro zawsze zasługuje na pogardę tam, gdzie obecna chwila czynów się domaga. Ja z całą moją nauką i wszystkiem co uczynić mogę, stoję teraz niżéj od Fryderyka, który swemi dwoma krzepkiemi rękoma za ojczyznę walczyć może; ja.... co najwięcéj mogę tylko umrzeć za nią: ale mniejsza o to, dziękuję zawsze waszemu naczelnemu lekarzowi, który zdjął ze mnie klątwę ciążącą na lichym bohaterze pióra!

Doktór poruszył tylko głową. Chciałbym przecież wiedzieć, zkąd od razu taka straszna gorycz zebrała się w panu. To zupełnie tak wygląda, jak gdyby pana ktoś śmiertelnie tym wyrazem obraził. Powtarzam raz jeszcze, że się pan zupełnie zmieniłeś.

Fernow wyprostował się, i jak gdyby chciał jakiegoś gniotącego jego dumę pozbyć się ciężaru, głęboko odetchnął.

Zapominam zupełnie, co mnie do pana sprowadziło, rzekł zmieniając przedmiot rozmowy. Mało mamy czasu, ponieważ dziś jeszcze trzeba nam do H. powrócić, zkąd jutro zaraz wychodzimy w pole. Chciałem pana prosić, ażebyś moje mieszkanie i bibljotekę przyjął pod swój nadzór. W przypadku mojéj śmierci, rozporządzaj pan pierwszem według swéj woli, drugą przekazuję naszemu uniwersytetowi: są w niéj rzeczy wysokiéj wartości, które po większéj części dostały mi się w sukcesji.

— Dobrze, ale skoro już formalny testament robić mamy, wtrącił doktór, to prosić będę o adres krewnych pańskich, na wszelki wypadek. Inaczéj nie pytałbym o to, wiedząc, że dotąd zachowywałeś pan w największéj tajemnicy swoje stosunki familijne.

— W tajemnicy? Niczego ukrywać nie potrzebowałem. Ja nie mam żadnych krewnych.

— Co? ani jednego?

— Nikogo! Jestem sam jeden na świecie!

Cicha, ale głęboka boleść przebijała się w słowach jego. Doktór z prawdziwem współczuciem wysłuchał go w milczeniu, nareszcie Fernow podał mu rękę, mówiąc:

— Żegnam pana. Mam jeszcze niektóre rzeczy do uporządkowania, więc do zobaczenia, dzisiaj wieczorem.

Stefan odprowadził go aż do drzwi i pożegnał serdecznem uściśnieniem ręki. Profesor powrócił do salonu, przez który przejść musiał, ażeby się do sieni dostać; rysy jego przybrały znowu ten łagodny smutny wyraz, jaki się zwykle w nich malował, lecz nagle wzdrygnął się i cofnął—ujrzał pannę Forest.

Nie opuściła ona wprawdzie swego miejsca przy oknie, lecz wystąpiła nieco naprzód, tak, że ujrzeć ją musiał, i wzrok jéj spotkał się z jego wzrokiem. Oczy Jenny nie umiały ani tkliwie ani marząco patrzeć; nawet ten tlejący w nich ogień wydawał się zawsze jak odbicie zorzy północnéj na zimnem, lodem pokrytem polu; mimo to wszystko, przebijała się jakaś dziwna potęga w jéj głębokiem spojrzeniu, potęga dumnéj nieugiętéj woli, która nie wabić, ale zniewalać tylko umie. Jenny o téj potędze swojéj wiedziała doskonale. Wprawdzie, ona jéj i rzadko używała, ale używszy, zawsze pewną była swego zwycięztwa. Wszakże to ona tą potęgą wzroku swojego zgięła hardy charakter własnego ojca, przywiódła do milczenia sarkastyczne wyskoki Atkinsa, i zimną a niemniéj energiczną naturę Henryka u stóp swoich ukorzyła. Dla tego też Jenny i teraz jeszcze pragnęła nowéj zdobyczy, oczekiwała od kogoś kroku który stanąwszy na przekor jéj poprzedniemu postanowieniu, wypowiedziałby jéj ostatnie słowo poże-

gnania, słowo, które ona z ust jego usłyszeć chciała, i dla tego to jéj oczy świeciły teraz całą siłą blasku swojego a w ich głębi, po za zwyczajną lodową powłoką tlało się coś gorętszego nad zwyczajny odblask zorzy północnéj.

Zdawało się, że i Fernow uległ pod wpływem téj dziwnéj potęgi; jak przykuty na miejscu, utonął wzrokiem w obliczu panny Forest, widział, że ona czekała, — czekała na słówko pożegnania. Jeden krok daléj, jedno słowo—przecież to chodziło tylko o proste pożegnanie, może o pożegnanie na zawsze! Lica dziewicy zakraśniały już przewidywanem tryumfem, ale jednocześnie oblicze profesora oblekło się czarną chmurą, a każdy muskuł jego naprężył się do silnego oporu. Powolnie, jak gdyby tylko krok za krokiem chciał ustępować przed tą demoniczną potęgą, wzrok jego odrywał się od czarującéj postaci dziewicy, usta jego drżały pod naciskiem nieugiętéj woli, wzbraniającéj mu wyrzec słowo pożegnania, a piersi wznosiły się konwulsyjnie wewnętrzną szarpane walką, lecz obrażona duma męzka nie uległa pokusie. Ukłonił się tak zimno, tak nieznacząco jak pierwéj śród zwalisk zamkowych, i—drzwi zamknięty się za nim—dotrzymał słowa!

Jenny stała jak posąg; tego było dla niéj za wiele. Zniżyła się aż do szukania, czekała tak długo, i stała jeszcze z zamiarem podania ręki do pojednania, gotowa dać i przyjąć ostatnie słowo pożegnania, a to niesłychane z jéj strony poświęcenie tak zostało ocenione! Czegóż więc chciał ten człowiek? Czy może żądał ażeby ona go przeprosiła?

Przeprosić! Na samo słowo tylko, oburzyła się dusza dziewicy w gniewie i rozdraźnieniu; było to coś czego ona nie znała. Miss Forest, która wszystko tak jasno oceniała, tak spokojnie rozważała, nigdy jeszcze nie była w przypadku, ażeby jakiegoś uniesienia żałować, lub błąd jaki naprawiać musiała, ponieważ nigdy i niczem unieść się nie dała; zresztą nawet w latach dziecięcych, wszelkie prośby o przebaczenie wydawały jéj się rzeczą niemożebną.

Zniosła wszelką karę, ale była przytem hardą, upartą, wolała całe tygodnie cierpieć, niż wypuścić z ust swoich słowo: przepraszam: i ojciec też jéj widział w dziecku zbyt wiele własnego charakteru, ażeby je chciał zniewalać do czego bądź, co sam uważał za poniżenie. To też myśl ta ledwie błysnąwszy w jéj głowie, została natychmiast ze wstrętem odpartą. On nie chciał pożegnania, dobrze, niechaj idzie bez niego, choćby na śmierć, jak to sam powiedział.

A cóż go skłoniło do tego? Wiedziała już teraz; zdradziło jéj to owo gorzkie zadosyć uczynienie z jakim przyjął zdjęcie z siebie zarzutu „bohatera pióra.“ Słowo to dręczyło go tyle czasu; było ono bodźcem, który go sam jeden pobudzał wtedy, kiedy przedsiębrał rzeczy przechodzące jego siły, a jeżeliby w tem zadaniu upadł, jeżeliby spełniając je zginął, czyjąż to było winą?

Jenny zaczęła się szybko przechadzać po pokoju; chciała odepchnąć myśl tę od siebie, ale ona ciągle i natrętnie powracała. Słyszała ustawicznie te smutne z głęboką boleścią wyrzeczone przez niego wyrazy. Nie mam nikogo, jestem sam jeden na świecie! Przycisnęła rękę do piersi, jak gdyby ta jego boleść tam echo swoje znalazła; gdyby teraz przed nim stanęła, może..lecz dawna duma odezwała się w niéj znowu z całą surowością i zacisnąwszy ręce tupnęła nóżką mówiąc. Nie! nie! i jeszcze raz nie!

Całe popołudnie zeszło niezmiernie szybko na przygotowaniu rzeczy potrzebnych dla odchodzących. Nareszcie uporządkowano wszystko, upakowano i o zmierzchu Fryderyk zupełnie już do podróży gotowy stanął przed doktorem i jego żoną, by im ostatnie złożyć pożegnanie. Biedny chłopak wyglądał bardzo smutny. Szerokie usta jego drżały wewnętrzną boleścią, i z trudnością połykał łzy które po licach jego spływały. Ani dosyć ciężka sakiewka, którą mu doktór ofiarował, ani obietnice pani doktorowéj, że i podczas kompanij pamiętać o nim będą, nie zdołały go rozweselić.

— Wstydź się, Fryderyku! mówił Stefan. Czy się to tak wychodzi na wojnę? Z taką smutną twarzą, z mokremi oczami? Myślałem, że masz trochę więcéj odwagi.

Fryderyk z zadziwieniem otworzył zwilżone oczy; nie mógł on dosyć długo zrozumieć uczynionego sobie zarzutu, ale nareszcie pojął go i zamiast dotychczasowego smutku okazał najgłębsze upokorzenie.

— Pan sądzisz może, panie doktorze, że ja się boję? zawołał z oburzeniem. Rozkoszą będzie dla mnie, dźwigać broń na ramieniu i bić nieprzyjaciela ile się tylko zmieści! Ale mój biedny pan profesor! On życie swoje położy, zaczem jeszcze na pole bitwy przyjdzie ...

Niewiadomo mój kochany! rzekł doktór, gdy tymczasem pani Stefanowa zgadzając się pod tym względem zupełnie ze zdaniem Fryderyka, ocierała chustką zapłakane oczy. Może on to wszystko łatwiéj zniesie niż my myślimy. Jeszcze raz ci powtarzam, że on wcale nie jest tak chory, jak ty sobie wyobrażasz, a przynajmniéj życie żołnierskie oderwie go od naukowego ślęczenia, co przy tych wszystkich okolicznościach jest prawdziwem dla niego szczęściem.

— Zginie on zginie przy tem całem szczęściu! Powtarzał uporczywie Fryderyk kiwając głową żałośnie. Niezawodnie zginie! Po pierwszym marszu, pójdzie do lazaretu, a bezemnie, nie będzie go miał kto pielęgnować i zamrze biedaczysko. A temu wszystkiemu i tu, rozżalony Fryderyk wybuchnął z całą dzikością swego gniewu, temu wszystkiemu będą tylko ci przeklęci Francuzi winni. O za to najmniéj cały tuzin zabić ich muszę.

— Dobrze, dobrze, ale poczekaj z tem jeszcze dopóki we Francji nie będziesz! zawołał doktór; cofając się nieco przed groźną mimiką rekruta, zresztą zobaczymy jeszcze czy twój pan będzie potrzebował tak krwawych z twojéj strony ofiar. O ile mi wiadomo, on już cały rok służył jako ochotnik, a przecież nie umarł.

— To było przed dziesięciu laty, przerwał Fryderyk zawsze jeszcze niespokojny. Wówczas był daleko zdrowszy i silniejszy, a jednak po manewrach musiał leżeć w szpitalu. Ale, nie ma na to rady, Żegnam państwa oboje, i serdecznie wyciągnął swoje szerokie ręce do doktora i jego żony, przy czem mimo wszelkich z jego strony usiłowań, łzy jak groch toczyły się po jego licach. Doznałem od państwa wiele dobrego w ciągu tych trzech lat, po moim powrocie odsłużę wam za wszystko, jeżeli nie, to niechaj wam Bóg wynagrodzi!

To mówiąc ściskał i wstrząsał swoją olbrzymią dłonią podane sobie serdecznie ręce, przyjął jeszcze parę szczerych upomnień i rad zbawiennych, wsadził czapkę na głowę i chwiejąc się na schodach, pospieszył za swoim panem, który pożegnawszy się już poprzednio z gospodarstwem, wyszedł jeszcze na chwilkę do ogrodu.

Profesor zatrzymał się na samym jego krańcu, i oparłszy się o furtkę w głębokiem pogrążony marzeniu, przypatrywał się wązkiéj, suchéj teraz pomiędzy opłotkami ścieżce odgradzającéj go od spokojnie płynącego poniżéj Renu Słońce już zaszło, a z niem zagasło także ostatnie rumiane światło dzienne; na niebie występowały nieśmiało i blado pierwsze gwiazdy, śród drzew i krzewów rozpościerały się coraz ciemniejsze cienie, które noc coraz chłodniejszem owiewała tchnieniem. Od strony przeciwległéj dochodził go cichy szmer i szum Renu, który swoim dawnym, kochanym i poufnym głosem szeptał mu ostatnie słowa pożegnania, — pożegnania czy z krajem rodzinnym, czy życiem? Mniejsza o to. ... było to zawsze jedyne pożegnanie jakiego się jeszcze mógł spodziewać.

W tem, zaszeleściało coś i z przeciwnéj strony, to jest od strony domu, ale głośniéj i silniéj, jak gdyby jedwabna suknia kobieca, dotykająca zwiru, którym ścieżki ogrodowe były wysypane. Fernow jakiemś przeczuciem wiedziony, obejrzał się. Przed nim stała Jenny, śmiertelnie blada, z oczyma spuszczonemi, załamanemi rączkami i wyrazem twarzy tak rozpaczliwym, jakby o całe jéj życie chodziło. Pierś jéj konwulsyjnem rozdymała się ruchem, usta drżały, wypowiadając posłuszeństwo wewnętrznemu natchnieniu, ale nareszcie otworzyły się, by wymówić te straszne dla nich słowa:

— Proszę.... proszę o przebaczenie!

— Miss Forest! Joanno! krzyknął Fernow z wybuchem namiętnego zachwytu. Ale ona się nagle zwróciła i uciekała aleją wiodącą do mieszkania. Już się miał rzucić za nią, kiedy niespodzianie rozległ się po całym ogrodzie głos Fryderyka:

— Panie profesorze, już czas! Panie profesorze, gdzie pan jesteś? Ani jednéj minuty nie mamy do stracenia!

Pójść! teraz w téj właśnie chwili? Nowe obowiązki domagały się pierwszéj, strasznéj ofiary. Wewnętrzna walka była krótką, obowiązek zwyciężył.

— Idę! odpowiedział głosem stanowczym i pospieszył do domu. Pod winoroślą balkonu było już ciemno, tylko śród zmroku przeglądały jeszcze zarysy jaśniejszéj niewieściéj postaci, pochylonéj naprzód, a jednakże ukrywającéj się pomiędzy gałązkami. Profesor wahał się chwilkę, ale jednę tylko kruciuchną chwilkę, a potem gorąco serdecznie zabrzmiało w jéj uszach dźwięcznym, męzkim wymówione głosem, *ostatnie:*

— Bądź zdrowa!

Mijały tygodnie i miesiące od czasu pierwszego wezwania do broni, a burza wojenna trwała jeszcze z całą siłą swoją, tylko że gromy jéj spadały teraz na tego który ją wywołał. Nad Renem dojrzewała spokojnie jagoda winna okrywając się z każdym dniem coraz ciemniejszą barwą, na polach kołysały się złote czekające żniw plony, w miastach powiewały zwycięzkie sztandary, ale tam... we Francji pustoszały winnice krwią nasiąkłe, tam ludzie i konie, tratowały kwitnące niwy, tam pożar bogatych miast i wiosek buchał płomieniem pod stropy nieba. Wszystkie okrucieństwa dla krajów nadreńskich przeznaczone, spadały teraz we Francji na własną ziemię spóźnioną ale straszną karą odwetu za spustoszony niegdyś Palatynat. Sam zwycięzca nie był już w możności powstrzymać rozpoczętego dzieła zniszczenia, które winnych i niewinnych zarówno dotykało i dręcząc boleśnie kraj ten uczuł nareszcie cały ciężar onego słowa, którem się zbyt często od wszelkiéj zasłaniał odpowiedzialności — c'est la guèrre!

Zwycięzki pochód wojsk niemieckich postępował ciągle naprzód, od Renu do Mozelli od Mozelli do Meuzy, od Meuzy do Sekwany, niszcząc wszystko co mu drogę tamowało. Jedno miasto po drugiem otwierało swe bramy, twierdza po twierdzy upadała po krótszéj lub dłuższéj obronie; palące słońce sierpniowe przyglądało się jasno siedmiu polom bitwy i tyluż pomnikom odniesionego na nich zwycięztwa, a pierwszy chłodniejszy powiew wrześniowy przesuwał się cicho po téj ziemi, gdzie cofający się nieprzyjaciel ze wszystkich stron otoczony, przyciśniony, poddać

się nareszcie musiał. Cała armia francuzka, z groźnym niegdyś na czele wodzem swoim, odbyła teraz tak stanowczo zapowiadziane wejście swoje do Niemiec, ale — bez broni gdy tymczasem pogromca z niezłomną, żelazną wytrwałością kroczył coraz dalej, do serca Francji, do Paryża!

W głównem mieście departamentowem N. pomimo że pierwsza fala wojenna już dawno tamtędy przepłynęła, panował jeszcze nieustający ruch wojenny. Miasto to, jako jedno z głównych stacji, leżało na wielkiéj drodze militarnéj i etapowéj, prowadzącéj z Niemiec do wnętrza Francji. Zdążające za innemi pułki, niezliczone kolumny z prowiantem i amunicją krzyżowały się tutaj z wracającemi transportami chorych i rannych ambulansami i kurjerami; wszystkie ulice były zapchane ludźmi, końmi i zaprzęgami wszystkie kwatery były przepełnione, i dwoje podróżnych, z pozoru Amerykanie, może Anglicy, którzy tu w dniu wczorajszym przybyli, chociaż niewątpliwie bogaci, mogli się jeszcze za bardzo szczęśliwych uważać, że dostali gdzieś pod strychem skromnie umeblowany pokoik w jednym z drugorzędnych hoteli.

Nazajutrz zrana, po ich przybyciu, cudzoziemiec siedział zamyślony na sofce, gdy tymczasem młoda jego towarzyszka stała przy otwartem oknie i wyglądała na ulicę, gdzie i dziś znowu roiły się tłumy pieszych i jezdnych, których nieustające krzyki i zgiełk aż do jéj uszów dochodziły.

— Nie pojmuję tego, Miss Jenny, jak pani możesz znieść ten straszny hałas! Czy pani nie dosyć jeszcze masz tego nieustającego na jedną chwilę rejwachu?

— Nie! brzmiała krótka i trochę opryskliwa odpowiedź młodéj kobiety, która w téj chwili wychyliła się jeszcze więcéj by się bliżéj przypatrzyć furgonowi wiozącemu rannych wojskowych. Wzrok jéj śledził bacznie wybladłe rysy chorych, i nie opuścił ich dopóki furgon na boczną nie skręcił ulicę.

— Przyznaję, że pani masz silniejsze nerwy od moich, rzekł Atkins z pewną niechęcią. Doprawdy, ja w ciągu ostatniego tygodnia zupełnie upadłem na siłach. Cały tydzień drogi do N. którą dawniéj w ciągu jednéj doby się przebywało, noclegi w najnędzniejszych wioskach, jedzenie jakiegom całe życie moje nie kosztował, przesiadywanie godzinami i całemi dniami w napół zburzonych chatach, spalone mosty, niepodobne do przebycia drogi, a przytem ciągłe niebezpieczeństwo ażeby w naszéj bliskości do bitwy nie przyszło, i ażebyśmy w prąd zwycięzców lub uciekających nie popadli, — sądzę że wszystko to powinno by panią nareszcie przekonać, jak niemożebną jest rzeczą poszukiwać stosunków familijnych aż na teatrze wojny.

Jenny tymczasem przymknęła okno i odwróciła się do mówiącego. Sądzisz to pan rzeczą niemożebną? zapytała spokojnie. Jednakże zdaje mi się, że mimo to wszystko przybyliśmy nareszcie do N. i tu prawdopodobnie czeka nas stanowcze rozwiązanie.

— Albo nowe rozczarowanie. Ślad ten dziwnie nas zawodzi; zdaje się że już, już go mamy, w tem niknie niespodziewanie, by znowu gdzieś w przeciwnéj stronie zamajaczyć. Teraz jesteśmy we Francji i nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby nas niezadługo do Ameryki wyprawiono, a ztamtąd, dla odmiany, znowu nad Ren i tak bez końca.

— Mniejsza o to! odparła Jenny. Przyrzekłam ojcu, że jeżeli mój brat żyje, odszukam go. Danego więc słowa dotrzymam.

— Gdyby to przynajmniéj ślad za którym gonimy, był stanowczy, wtrącił Atkins wzruszając ramionami, ale kogoż my to szukamy? Człowieka, który o głównéj osobie mógłby nam dopiero niepewnych wiadomości udzielić.

— Raczéj jedynego człowieka, który nam ich rzeczywiście udzielić może. Ślad bezpośredni zaginął; owego duchownego ani w jego parafji, ani gdziekolwiek indziéj odszukać się nie dało; wszystkie nasze usiłowania w tym kierunku okazały się bezskutecznemi, ale za to znaleźliśmy rzemieślnika, który drugiego chłopca przyjął do siebie. Ażeby od niego tę pocieszającą otrzymać wiadomość, że jego kuzyn jeszcze przed czterema laty wyszedłszy do Francji, obrał sobie to nieszczęśliwe miasto N. które właśnie w samym środku operacji wojennych leży, za widownią swojéj w każdym razie wielce szacownéj działalności przy warsztacie stolarskim.

Oczy Jenny widocznym zaiskrzyły się gniewem. Zapominasz pan o rzeczy najważniejszéj, rzeczy jedynej, która nas tutaj sprowadziła, to jest, o objaśnieniu tego człowieka, że dawny towarzysz młodego Erdmana żyje, że obaj po wielu latach rozłączenia, podczas służby swojej wojskowéj znowu się z sobą spotkali. Bliższych nie mógł nam już udzielić wiadomości ponieważ kuzyn jego służył wówczas w odległem mieście garnizonowem. Wiem teraz, że brat mój jeszcze żyje, że jest ktoś na świecie co go zna, i miejsce jego pobytu wskazać mi może. Więc to się panu nie zdaje jeszcze wielkim postępem w naszych poszukiwaniach? Dla mnie jest to daleko więcéj, niżelim się kiedykolwiek spodziewała.

— Wszakże ja temu wcale nie przeczę, odpowiedział Atkins, usprawiedliwiając się przed rozgniewaną niemal dziewicą. Byłbym tylko zdania, ażeby dalsze nasze śledzenie do końca wojny odłożyć.

Jenny podniosła głowę tym razem z widocznem już niezadowoleniem.

— Do końca wojny? zawołała niecierpliwie, wojny która wszystkie pozrywa stosunki i ludzi na wszystkie rozegna strony? Jeszcze wiadomość ta nie jest spóźnioną, jak się spodziewam, lecz nie możemy się ani jednéj chwili ociągać, ażeby z niej skorzystać. A ponieważ o listownem porozumieniu myśleć nie można, przeto jedynym środkiem było osobiste moje wystąpienie i udanie się za wskazanym śladem.

Jeżeli zbyt uciążliwemi są dla pana niebezpieczeństwa, trudy i niewygody podróży, to już pana własna wina. Ja byłabym i sama jedna pojechała.

— O! wiem o tem aż nadto dobrze, rzekł Atkins wzdychając. Jenny, pani mnie przestraszasz niekiedy swoją niezmordowaną energją. Ja, zaprawdę nie należę do ludzi leniwych i niezdecydowanych, jednakże to nieustające gonienie za jedynym wyłącznie celem nuży mnie straszliwie.

— Mnie nie! odparła Jenny zimno lecz stanowczo. Postanowiłam, powtarzam to panu, iść dalej, aż do ostatecznych woli mych granic, mojego zadania.

— Teraz mamy przynajmniéj jedną pewność, odezwał się znowu Atkins po chwili milczenia, ów niemiecki majster, u którego młody Erdmann jeszcze na początku wojny miał robotę, jest właśnie tutaj. Wszakże pani wiesz, że wczoraj z merostwa, gdzie mi potrzebnych udzielono wiadomości, udałem się prosto do wskazanego domu, naturalnie znalazłem go zamkniętym, gdyż cała ludność wybiegła dla przypatrzenia się nowo wchodzącym pruskim pułkom, w których spodziewano się spotkać swoich współrodaków. Dowiedziałem się o tem z dziwnéj mojéj rozmowy z jakąś niezmiernie gadatliwą sąsiadką, dziwnéj pani powtarzam, ponieważ ona nie rozumiała po angielsku, a ja po francuzku i byliśmy przymuszeni posiłkować się samą prawie mimiką, za pomocą któréj zaledwie zdołałem jéj dać do zrozumienia, że szukałem pana Erdmana i jego majstra, że dzisiaj jeszcze powrócę, i że mnie bardzo zobowiąże, jeżeli mój bilet z naszym adresem owemu jegomości doręczy. Jestem teraz bardzo ciekawy czy ona mnie pojęła, a jeżeli choć trochę pojęła, jaką z moich migów mogła sobie utworzyć historję.

Jenny spojrzała na zegar. Dziewiąta dochodzi, sądzę że moglibyśmy się już wybrać.

W chwili właśnie kiedy Atkins miał na to odpowiedzieć, zapukał ktoś do drzwi. Otworzono i wszedł do pokoju sędziwy, siwizną okryty mężczyzna, ubrany skromnie ale nie ubogo, który skłoniwszy się grzecznie przemówił dosyć czystą francuzczyzną:

— Proszę mi przebaczyć jeżeli przeszkadzam, lecz przysłano mnie tutaj. Jestem stolarz Vogt, z ulicy*** Jakiś obcy pan dowiadywał się wczoraj o mnie, pozostawił bilet ze swoim adresem, żądając, jeżelim dobrze zrozumiał, ażebym się do niego zgłosił. Sądzę że to tutaj być musi.

Atkins nie zrozumiał ani słowa z téj do niego zwróconej przemowy, Jenny atoli, która język francuzki doskonale posiadała, przetłomaczyła mu jéj treść, a potem, przez wzgląd na swego towarzysza odezwała się po niemiecku:

— Rzeczywiście, nie omyliłeś się pan wcale, ale wizyta tego pana, dotyczyła właściwie pewnego młodego człowieka, który w warsztacie pańskim pracuje. Jest to także Niemiec, czeladnik stolarski Franciszek Erdmann, szukamy go, i właśnie byliśmy w zamiarze udania się teraz do pana.

— Ha! Franciszka państwo szukają? rzekł starzec także już językiem ojczystym. Mój Boże kochany! On już od sześciu tygodni wyszedł. Zaraz po wypowiedzeniu wojny opuścił nas i udał się do Niemiec. Służy teraz w wojsku pruskiem.

Jenny mimowolnie zbladła. Znowu napróżno! Ale to rozczarowanie, które po tak pewnéj nadziei byłoby wszelkie inne widoki osiągnienia celu obaliło, rozdrażniło ją tylko; usta jéj zacisnęły się, a koniec nóżki niecierpliwie uderzał o posadzkę. Jakkolwiek wewnętrzne jéj uczucia żadnem nie objawiły się słowem, widać przecież było, że w duszy nowe składała śluby, iż mimo wszystkich przeszkód, ciągle naprzód postępować będzie.

Atkins mniéj spokojnie przyjął powyższą wiadomość, i w głośnych wykrzyknikach wypowiadał całe swoje niezadowolenie.

— Znowu w wojsku! Zdaje mi się, że ta sławna armja pruska niedługo już całą ludzkość w sobie pochłonie. Gdzieśmy się tylko udali w ciągu naszych poszukiwań, jakichkolwiek ludzi pragnęliśmy zobaczyć w naszéj sprawie, wszędzie zawsze odbieraliśmy jedną stereotypową odpowiedź „w wojsku!" Jestem przekonany, że jeżeli nawet znajdziemy bezpośredni ślad brata pani, to i wtedy nam jeszcze powiedzą: On w wojsku. Jeżeli go w całéj reszcie Europy nie będzie, tam spotkamy go niezawodnie!

Stolarz nie rozumiał wprawdzie tych po angielsku i z uniesieniem wymawianych słów Atkinsa, ale domyślał się z samego tonu i z oblicza młodéj damy, jak przykrą musiała być dla obojga udzielona przez niego wiadomość.

— Tak, i nam tutaj daje się to we znaki! powiedział głosem strapionym. Mnie Franciszka brakuje na każdym kroku, a moja dziewczyna siedzi teraz smutna i o mało oczów nie wypłacze. Na jesieni mieli się już pobrać z sobą. Ale, cóż na to poradzić! Należał do pierwszego jeszcze wezwania, więc musiał iść, a my nie chcieliśmy brać na siebie grzechu, ażeby go zatrzymać.

— Szkoda! odezwał się znowu Atkins gniewnie do panny Forest. Słyszałaś pani kiedy co podobnego? Chłopak siedzi tu spokojnie i bezpiecznie we Francji, gdzieby go żywy duch nie zapytał o jego obowiązek służenia wojskowo, chce się tu ożenić, osiedlić i praw-

dopodobnie nigdy nie wrócić do swoich Niemiec, w tem, zaledwie wojnę wypowiedziano, ucieka do domu, rzuca narzeczoną, wesele, rzemiosło, słowem wszystko, i szaleniec jakiś, melduje się swojéj władzy, by się za ten ukochany Ren dać zamordować. To poczucie obowiązków musi chyba u tych Niemców być jakąś manją.

Jenny nie słuchała prawie téj jego mowy. Tam, gdzie Atkins wszystko uważał za stracone, jéj przyświecał jeszcze jakiś promyk nadziei. Zwróciła się myśl nagle do stojącego przed nią rzemieślnika.

— Więc ten młody Erdmann zostawał w blizkich stosunkach z rodziną pana? Miał zostać zięciem jego? W takim razie może pan, albo córka pana wiecie coś z jego przeszłości, co dla nas byłoby rzeczą wielkiéj wagi. Spodziewamy się otrzymać od niego niektóre objaśnienia w naszych własnych stosunkach familijnych, gdyby to być mogło, wierzaj pan, wdzięczność nasza sowicie by mu to wynagrodziła.

— Co się jego stosunków dotyczy, to znane mi są dosyć dokładnie. Zostawał on przeszło dwa lata w moim domu, a to kochanie się jego z moją Marją, poczęło się zaraz w pierwszych miesiącach, mówił stary Vogt dobrodusznie. Pytaj mnie pani tylko, ja na wszystko dokładnie odpowiem.

Atkins widząc, że Jenny całą sprawę we własne zamierza wziąść ręce, usunął się na bok tem chętniéj, że z takiego badania nie wielkiego spodziewał się rezultatu. Zresztą, pomoc jego nie była tu wcale potrzebną, gdyż Miss stawiała swoje pytania tak jasno, pewno, energicznie, że najbieglejszy sędzia kryminalny, lepiéj z podobnego badania wywiązaćby się nie umiał.

— Przyszły zięć pański urodził się podobno w małéj osadzie rybackiéj pod Hamburgiem?

Stolarz skinął głową twierdząco.

— Po śmierci rodziców przybył do swoich krewnych w G. i oni go wychowali; ztamtąd wyuczywszy się rzemiosła i wysłużywszy czas przepisany w wojsku, udał się do Francji, celem wydoskonalenia się w wyższem stolarstwie i od dwóch lat przebywa tutaj w N. w domu pańskim?

— Tak jest słowo w słowo, odpowiedział Vogt, To nasz poczciwy Franciszek, o którym pani mówisz. On sam opowiadał nam to wszystko.

— Czy on panu nigdy, tu głos Jenny znowu zadrżał pod wpływem powściąganego siłą jéj woli wzruszenia, czy on panu nigdy nie mówił o swoim bracie, który w M. jeszcze razem z nim pierwotnie się chował?

— A jakże! Ale to nie był prawdziwy brat, tylko dziecko przybrane, które jego rodzice z Hamburga przyprowadzili, i w swojéj dobroci serca przy sobie zatrzymali, ponieważ nikt się po niego nie zgłaszał.

Jenny rzuciła tryumfujące spojrzenie na Atkinsa. Więc i to panu wiadomo? Chłopcy późniéj rozłączeni, ależ i ten drugi znalazł przytułek?

— Tak u pewnego uczonego.

Jenny zadrżała nagle i podniosła głowę. U uczonego? powtórzyła zwolna; mówiono nam, że to był duchowny, ksiądz Hartwig.

— Tak, tak, słusznie, lecz obok tego był to człowiek bardzo uczony, wiecznie zatopiony w swoich książkach. Franciszek opowiadał nam także o nim, że późniéj opuścił nawet swoją plebanję, bo nie był wcale ubogi—i poświęcił się wyłącznie naukom.

Miss Forest śmiertelnie pobladła.— Błyskawiczne jakieś światło się zdało na nią i rozdarło tę ciemną zasłonę, jaka dotąd losy szukanego brata zasłaniała. Przez chwilę światło to olśniło ją rażąco, późniéj znowu zagasło, lecz nagle jego zjawienie się musiało téj siostrze coś strasznego przedstawić, wzdrygnęła się pod jego blaskiem.

— Czy pani nie dobrze? zawołał Atkins przestraszony, i zbliżył się szybko do swéj pupilli.

— Nie! rzekła Jenny szybko, i odsuwając go od siebie; jéj oddech był gwałtownie przyśpieszony, a ręka którą się na stole oparła drżała niemal konwulsyjnie.

— I nie wiesz pan, czy ten przybrany brat żyje jeszcze, czy on pozostaje w jakich stosunkach z twoim zięciem?

— Niezawodnie żyje, odpowiedział rzemieślnik spokojnie. I pisują nawet często do siebie; zeszłéj Wielkanocy Franciszek miał list od niego.

Zkąd? jak był podpisany? Głos dziewicy drżał straszliwem wzruszeniem, a wzrok jéj wpatrywał się w starca z takim wyrazem, jak gdyby tu szło o jéj śmierć lub życie.

Stolarz wstrząsnął ramionami! Ha! tego przy najlepszych chęciach powiedzieć nie umiem. O tym liście mówił nam niezawodnie, wspominał nawet, że się temu bratu doskonale powodziło, ale nazywał go zawsze tylko po imieniu, lecz ani ja, ani moja córka nie widzieliśmy nigdy tego listu. To wiem tylko, że on przyszedł do niego z nad Renu.

— Z nad Renu! Jenny przyłożyła wilgotną rękę do zimnego jak lód czoła. Zdawało jéj się przez chwilę, że ona i wszystko około niéj w ziemię się zapadnie, jednakże utrzymała się na nogach siłą nieugiętéj woli, jak skała któréj najsilniejsza burza powalić nie zdoła.

— Atkins przypatrywał jéj się ze zdumieniem, czekając na dalsze pytania: ale gdy ciągle jeszcze milczała, odezwał się po chwili: W takim razie mogliśmy sobie oszczędzić téj ostatniej męczącéj podróży. My właśnie przybywamy z nad Renu, kochany panie Vogt. Więc pan nie wiesz i nazwiska i miejsca, ani nawet córka pana?

— Nic a nic nie wiemy.

— Zatem prosić tylko pana będę o dokładne wskazanie mi pułku i korpusu, w którym przyszły zięć jego służy. Sądzę, że w ciągu wojny miałeś pan od niego jakie wiadomości?

— Raz jeden dopiero! Mieliśmy nadzieję, że będzie z armją tędy przechodził, i kiedy nam wczoraj powiedziano, że nowe wojska pruskie nadciągają, wyszliśmy wszyscy przed bramę, sądząc, że może i jego zobaczymy, ale nie było go między niemi.

Atkins ciągle jeszcze czekał na wmięszanie się panny Forest do téj rozmowy; jéj milczenie zbyt rażąco odbijało od tego gorączkowego zajęcia, jakie przed kilku minutami jeszcze okazywała, gdy atoli milczenia swego przerwać nie myślała, wydobył pugilares i zanotował w nim wszystkie otrzymane objaśnienia. Rzemieślnik pożegnał pannę Forest która machinalnie skinąwszy tylko głową, pozostawiła swemu towarzyszowi, uprzejme wyprowadzenie go z pokoju. Nie można było wiedzieć, czy człowiek ten nie będzie jeszcze potrzebnym w dalszych poszukiwaniach, dla tego też każdy kogo Atkins w swoich widokach używać zamierzał, doznawał zawsze jak najgrzeczniejszego z jego strony przyjęcia.

Po wyjściu stolarza Amerykanin powrócił spiesznie do swéj towarzyszki. Czy nie mówiłem? Znowu do innych krajów powędrujemy. Teraz jeszcze raz nad Ren nas wyprawiają! Mojem zdaniem jedyną rzeczą jaka nam pozostaje, jest: listowne odwołanie się z Niemiec do tego pana Erdmanna, co zawsze nam łatwiéj przyjdzie niż wszelkie inne kroki. W przypadku, gdyby już nie żył, wypadnie nam zamieścić szczegółowe obwieszczenie we wszystkich gazetach nadreńskich; w każdym zaś razie uważam najwłaściwsem, bezzwłocznie wybrać się z powrotem do Niemiec.

Na te słowa Jenny otrząsła się nagle z dotychczasowego odrętwienia.

— Dla czego? skoro już raz jesteśmy we Francji? Może nam się uda wynaleść pułk w którym on służy.

— Jenny, zaklinam panią na miłość boską! Do czegóż nas to doprowadzi? Szukać jakiegoś pułku w marszu wojennym! Co za myśl?

— A cóż to wielkiego? Chcę raz przecie dowiedzieć się prawdy. Gdyby mi to nawet życiem przypłacić wypadło, gdybym przez linję bojową, śród samej bitwy przedzierać się miała, ja muszę, muszę mieć pewność!

Atkins przerażony tak nagłym, strasznym wybuchem namiętnego uniesienia, jakiego się nigdy w pannie Forest nie domyślał, wpatrzył się w nią ze zdumieniem i teraz dopiero spostrzegł jéj bladość śmiertelną.

— Ależ, mój Boże! Co pani jest? Chora jesteś. O! wiedziałem ja o tem, że takie niesłychane znoje téj przeklętéj podróży, pomszczą się nareszcie na zdrowiu pani.

I troskliwy o to zdrowie swéj pupilli, rzucił się skwapliwie by jéj jaką pomoc udzielić, ale Jenny odpychając go z pewnem uniesieniem od siebie powiedziała.

— To przejdzie! Ja nic nie potrzebuję....tylko szklankę wody chciéj mi pan podać.

Atkins był w największéj obawie; wiedział bardzo dobrze że Jenny nie podlegała żadnym nerwowym napadom, a obawiał się przecież jakiejś niebezpieczniéjszéj choroby, wiedząc zaś, że w hotelu o żadnéj troskliwszéj usłudze myśleć nie można było, wybiegł sam z pokoju, by żądaniu Jenny zadosyć uczynić.

Tego właśnie pragnęła panna Forest. Wody wcale jéj nie było potrzeba. Ona chciała tylko jednéj chwili samotności aby ją nacisk tłumionych uczuć nie zadusił. Zaledwie Atkins wyszedł, pobiegła i ona do drzwi, zasunęła rygiel i upadła przed sofą na kolana, zakrywając twarz obu rękoma. Jenny Forest nie oddawała się swoim wzruszeniom w oczach ludzi obcych.

— Kiedy człowiek bez rodziców i ojczyzny na szeroki świat wyrzucony zostanie, a potem popadnie w ręce uczonego, który nic nie kocha prócz swojéj nauki... i ten list, co z nad Renn przyszedł! To był ów piorun, który w nią poprzednio tak niespodziewanie uderzył, to było przeczucie, które teraz z całą zabijającą pewnością jéj duszę ogarnęło. Piorun ten otworzył przed nią otchłań w którą Jenny nie miała odwagi spojrzeć, wydobył na jaw tajemnicę, któréj zimna, dumna narzeczona Alisona nie domyślała się dotąd, lecz kiedy teraz w śmiertelnéj trwodze załamane ręce do nieba podniosła, wydobył się nagle z jéj piersi tak długo tłumiony straszny krzyk rozpaczy.

— Wielki Boże! Wszystko, tylko tego jednego nie chcę! Niechaj będzie moim przeciwnikiem, moim śmiertelnym wrogiem. jeżeli inaczéj być nie może — tylko.... nie moim bratem.

(d. c. n.)

Opisy do N. 18.

N. 1. Kostium z vêtement zwany „Julja”

Krój zwierzchniego ubrania czyli vêtement podług N. X Fig. 49—51 na arkuszu z formami.

Do ziemi dochodząca spódnica z materjału wełnianego w pasy, oszyta jest skośnemi falbanami, zakończonemi w górze nagłówkiem a u dołu riuszą marszczoną. Zwierzchnie vêtement z materjału gładkiego, kraje się razem ze stanikiem i nie przepasuje paskiem; z przodu stanik tylko zapięty jest na guziki, z tyłu wcięcie w pasie odznaczone jest rozetą szmuklerską z kwastami. Garnirunek vêtement stanowi szeroka skośna plisa tego samego lub ciemniejszego koloru, nieco z przodów ku górze zwężona, a na staniku z przodu w kształcie szelek, na plecach w chusteczkę naszyta. Nad plisą wyszycie z jedwabnego sznura; u dołu dodana kręcona wełniana frendzla.

N. 2. Ubranie dla małego chłopczyka.

Krój majtek jak do ryc. 27, kaftanika jak do 28.

Tak krótkie majtki jak i kurtka pod szyją tylko na jeden guzik zapięta, są z czarnego aksamitu, oszyte plisami z rypsu jedwabnego; oprócz tego majtki u dołu oszyte są plisowaną muślinową falbanką. Pod kurtkę dodana bluzka bez rękawów z białej flanelki, wyszyta z przodu kolorowym sutaszem. Kołnierzyk i szerokie odstające mankiety z cienkiego płótna.

N. 3. Ubranie dla małéj dziewczynki.

Jasno szafirowa aksamitna spódniczka z szerokim skośnym napowietrznym wolantem; tunika z boku podpinana z materji niebieskiéj w pasy.

Bluzka z krótkiemi rękawkami, z białego materjału fabrycznie tkanego w zakładki. Szarfy, kokardy przy rękawkach i na głowie, z szerokiéj aksamitnéj wstążki.

N. 4—13. Rozmaite kołnierzyki i mankiety.

Krój na arkuszu z formami N. VII—IX Fig. 33—39.

Wszystkie kołnierzyki i mankiety są dubeltowe; wierzch kraje się z jak najcieńszego a podszewka z grubszego, mocnego płótna. Górny wykrój kołnierzyków wszywa się w skośną wąską listewkę, oprócz której dodać można małą pod spód chusteczkę, na którą formę podaliśmy na arkuszu dodatkowym do N. 13 i 14 Tygodnika Fig. 67.

Przy szerokich rękawach u sukien, do płóciennych mankietów dodają się rękawki pół batystowe lub muślinowe, które powinny sięgać za łokieć, mieć w górze 45—50 centy: szerokości, a u dołu być trochę skośnie ścięte i zwężone. Różne rodzaje naszyć i garnirunków, nadających się do każdéj formy, wyraźnie przedstawiają ryc. 5, 7 i 9.

N. 14—18. Koszyczek na bilety wizytowe.

Krój i opis w dodatku N. XXII Fig. 83.

N. 19—21. Poduszka pod nogi robotą krzyżową w pasy.

Deseń roboty pod N. 20—21.

Materjał: kanwa odpowiedniéj do włóczki angielskiéj grubości; włóczka angielska w kolorach na deseniach oznaczonych: kordonek biały i maisowy; plusz czarny lub fijołkowy, 4-ry kwasty w mięszanych odpowiednich kolorach z nadgłówkiem nakształt rozety. Dwa uszy z kolorowych podwójnych sznurów, w środku ozdobione baryłkami szmuklerskiemi 6 cen. długiemi, obrobionemi jedwabiami odpowiednich kolorów. Czarna cerata na spód i mocne płótno szare na podszewkę pod całą poduszkę, która powinna mieć 40 cen. długości, 33 cen. szerokości, 5 centy. wysokości i być wysłana włosieniem.

Środek poduszki pokrywa robota na kanwie 26 i pół centy: szeroka, złożona (jak to N. 19 wskazuje) z trzech pasów ułożonych naprzemian. Boki dodane są z pluszu czarnego lub kolorowego, a podszewka z czarnéj amerykańskiéj skóry. Plusz na rogach, założony jest w fałdę głęboką, na któréj wszywa się rozeta szmuklerska z kolorowego jedwabiu, wraz z przyczepionym do niéj kwastem. Uszy czyli antaby ze sznura służą do ozdoby boków i do przenoszenia poduszki. Szlaczki ryc. 20 i 21 odrobione na cienkiéj kanwie, służyć mogą do przyozdobienia koszyczka; na grubéj i rzadkiéj stanowić będą szlak do dywana.

N. 22—23. Dwie próbki ściegu na kanwę,

służyć mogące na pantofle, poduszeczki i t. p.

Włóczka czarna, maisowa i dwa cienie jakiego żywego koloru, potrzebne są do obydwóch ściegów. Przy odrabianiu ściegu ryc. 22 potrzeba najpierw odrobić tło kolorowe krzyżowe i stanowiące rzucik, ściegi smyrneńskie kordonkiem maisowym obwiedzione, a dopiero potem do lać gwiazdki czarne ściegiem długim, przewłóczonym. Supełki w środku gwiazdek dają się naprzemian kordonkiem żółtym i włóczką, w jakim jasnym stosownie dobranym kolorze.

W ściegu ryc. 23, odrabia się najpierw kratę kolorem czarnym, a następnie zapełnia ją się ściegiem długim skośnym, dwoma naprzemian użytemi jasnemi kolorami. Przez środek przechodzi w poprzek długi ścieg czarny, przeszyty kordonkiem żółtym.

N. 24—27. Opisane na arkuszu z krojami.

N. 28. Kaftanik luźny dla dzieci

od lat 5—8.

Krój na arkuszu dodatkowym N. VI. Fig. 31—33.

Cały kaftanik wraz z szerokiemi rękawami kraje się razem w jednéj sztuce, dodając jedynie osobno oznaczone na formie kliny. Obrany materjał składa się środkiem pleców prosto podług nitki, a brzegi przodów wypadną skośnie. Kliny podług Fig. 32 przykrojone, łączy się najpierw do przodów od A* do C* potem zeszywa z plecami od D* do A* i ztamtąd dalej do E*. Nakoniec następuje w dalszym ciągu zeszycie rękawa, od C* do F*.

Wzór kaftanika z jasno popielatéj flanelki, obłożony jest skośną listwą z ciemniejszéj flanelki, u góry wyciętą w ząbki i przyozdobioną stębnówką i wyszyciem z jasnego jedwabiu.

N. 29. Rękaw.

do kostiumu ryc. 32 w N. 19 Tygodnika.

N. 30. Rękaw

do stanika z baskiną ryc. 49.

N. 31. Tiunika

do kostiumu ryc. 2 w N. 19 Tygodnika.

N. 32. Tiunika

podpinana na guziki. Krój i opis na arkuszu z formami N. XIII Fig 59—61.

N. 33. Bucik

spacerowy ze skóry lakierowanéj z elastyką.

Bucik z wysoką cholewką i szerokim wyłożeniem nakształt pantofelka, przyozdobiony jest stębnówką z białego jedwabiu i kokardą z rypsowéj wstążki.

N. 34. Bucik

do strojniejszego ubrania z francuzkiéj pruneli lub atłasu, zapinany na guziczki.

Obłożenie z przodu niepowinno być tak szerokie jak przy bucikach spacerowych, zachowuje jednak formę pantofelka i jest nie ze skóry lecz z tego samego co bucik materiału. Cholewka z przodu na ziczki zapinana, przystr jest u góry pasmanterją i l stami z czarnego jedwabiu.

N. 35. Kokarda

z końcami do przystrojenia sukni.

Kawałek materji mający 28 centy: w kwadrat, przecina się na skos, wysiepuje z jednego z prostych brzegów na frendzlę i układa podług wzoru jako końce; jedyną kokardę stanowi skośny kawałek mający 20 centy. długości a 10 szerokości, złożony przez środek i zeszyty z boku z lewéj strony, potem odwrócony, zręcznie sfałdowany i do kawałka sztywnego muślinu wraz z końcami przyszyty. Środkowy węzeł układa się ze skośnego kawałka na sztywnym muślinie, w fałdy odwrotnie do środka idące.

N. 36. Kokarda bez węzła.

Skośny kawałek materji 38 centy: długi, 10 centy. szeroki, oszyty koronką białą i czarną, na dwie strony odwróconą, zakłada się (przy ułożeniu kokard) w środku w ten sposób, iż odwinięta koronka zastępuje węzeł. Przy takiem odwinięciu potrzeba w środku czarną koronkę przeciągnąć na lewą stronę i dopiero naszywać daléj.

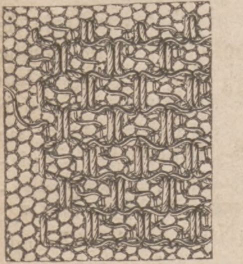
N. 37. Guzik wyszyty

sutaszem i perełkami.



N. 1. Ubranie z vêtement„ Kostjum Julja” Krój N. X. Fig 49 51 na arkuszu z krojami. N. 2. Ubranie z kaftanikiem dla chłopczyka. Krój patrz N. 27. N. 3. Ubranie dla małéj dziewczynki.

Guzik drewniany pokryty czarną lub kolorową materją naszywa się czarnym sutaszem i czarnemi rżniętemi perełkami.



N. 15. Wyszycie na tiulu grubym i cienkim jedwabiem do N 14.

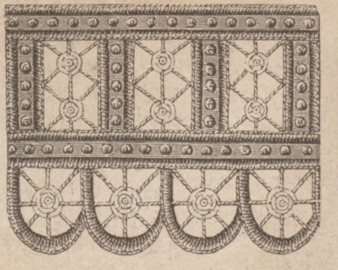
Kręcony jedwabny sznur wszyty między dwa rzędy sutaszu, otacza brzeg guzika.

N. 38. Guzik

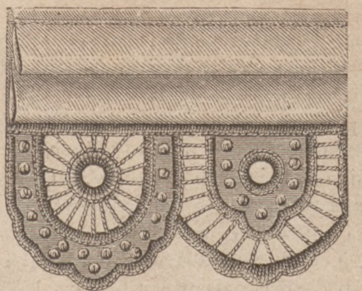
pokryty robotą szydełkową.

Srodek stanowi kółko mosiężne 1 i 1/4 centy. średnicy, obrobione jedwabiem czarnym lub kordonkiem nicianym niewarowym, w środku zapełnione kratką koronkową. Koło niego daje się 8 listków, przedzielanych 3ma o. ści. każdy listek składa się z 1 o. ści: 5 słupków, 1 o. ści: przerobionych jedną pentelką.

W trzecim rzędzie daje się: * 1 słu. w środkowe z oczek ścisłych poprzedzającego rzędu, 4 o. pow, 1 o. ści: w środek listka, 4 o. pow., i znów powtarzać od *. Rząd 4ty stanowią ząbki z 5 o. po. przyrabiane naprzemian o:. ści: i słupkiem, rząd 5ty takież ząbki tylko ści. oczkami przyrabiane.



N. 7. Oszycie do kołnierzyka N. 6. Haft gipiurowy.



N. 9. Oszycie do kołnierzyka N. 8. Haft gipiurowy i pliski.



N. 5. Oszycie do kołnierzyka N. 4. Haft gipiurowy z przystębnowauą pliską.



N. 10. Wązki kołnierzyk z prostym brzegiem. Krój na arkuszu z krojami N VIII Fig. 35 Patrz N. 11.



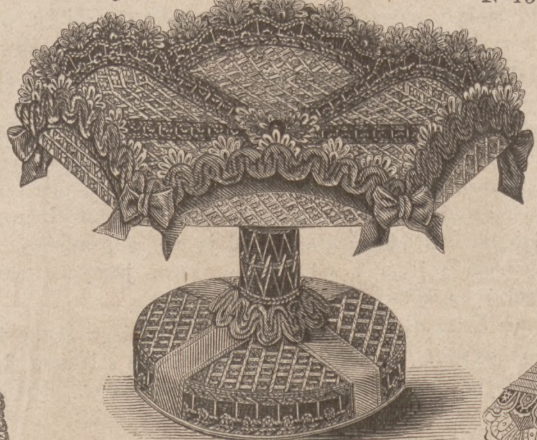
N. 4. Marynarski kołnierzyk. Krój na dodatku N. IX Fig 37.



N 12 Wązki kołnierzyk wycięty wzęby. Krój N. VII Fig 33 Patrz N 13.



N. 11. Rękaw z szerokim mankietem. Krój na dodatku N VIII Fig. 36.



N. 14. Koszyczek na bilety wizytowe, wyszycie na tiulu i frywolity. Patrz N. 15—18. Krój i opis na dodatku do N. 18 i 19 Tygodnika N. XXII Fig. 83.



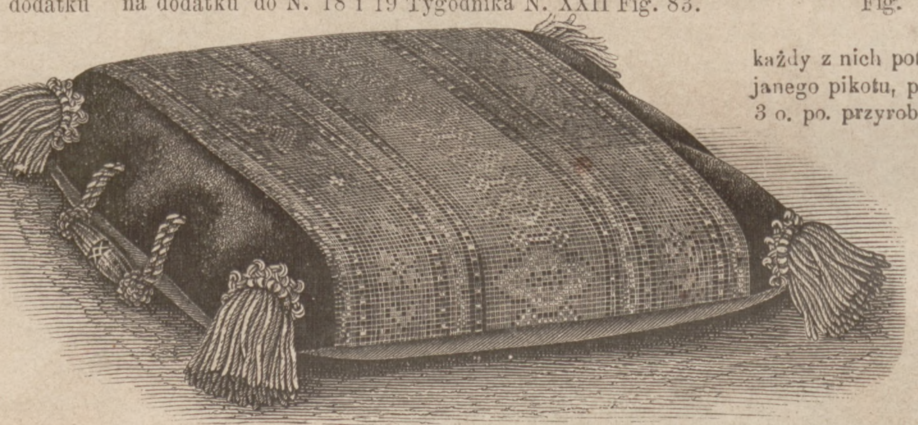
N. 13. Rękaw z wązkim mankietem. Krój N. VII Fig 34.



N. 6. Marynarski kołnierzyk zwykłą formą. Krój na dodatku N. XI Fig 38



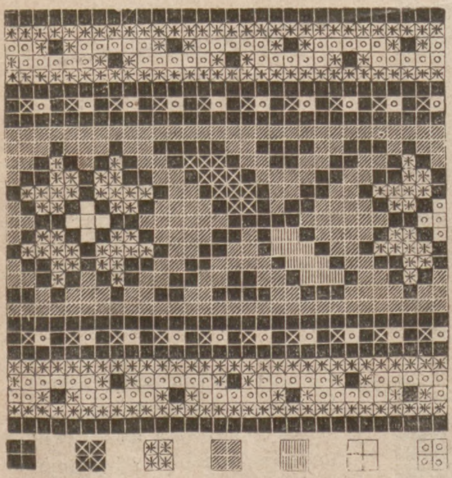
N. 8. Marynarski kołnierzy z rogami do przodu. Krój N IX. Fig. 39.



N. 19. Poduszka pod nogi przyozdobiona robotą krzyżową. Patrz wzory na kanwie N. 20—21.

N. 39. Guzik

z robotą szydełkową.



czarny, niebieski, brązowy, zielony, pąsowy, biały, żółty jedwab.

N. 20. Deseń szlaku brzeżnego do poduszki N. 19.

W środek daje się także kółko mosiężne, mające najwięcej 3/4 centy. średnicy, obrobione oczkami ścisłemi. Koło niego idzie 10 pikotów przedzielanych 3ma o. ści., w następnym rzędzie w środkowe z o. ści., robią się słup: przedzielane 4 o. po., które obrobione są w 4tym rzędzie 7 o. ścisłemi. Rząd 5 składa się znów z 14 piko. przedzielanych 3 o ści., nad któremi w rzędzie 6tym daje się 1 sł., pomiędzy pikotami, przedzielany w górze 4 o. pow., oczka te w następnym rzędzie obrabia się 7 o. ścisłemi.

Nakoniec jako zakończenie daje się w ostatnim rzędzie 1 o. ści. po nad każdym słupkiem i 7 o. powietrznych.

N. 40. Agrafa ułożona

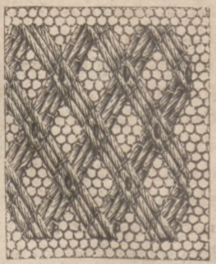
z jedwabnego sznura.

N. 41. Agrafa w kształcie liścia.

Podług powyżéj podanych wzorów, obiedwie agrafy układają się na sztywnéj podszewce lub ceracie z kręconego, jedwabnego sznura.

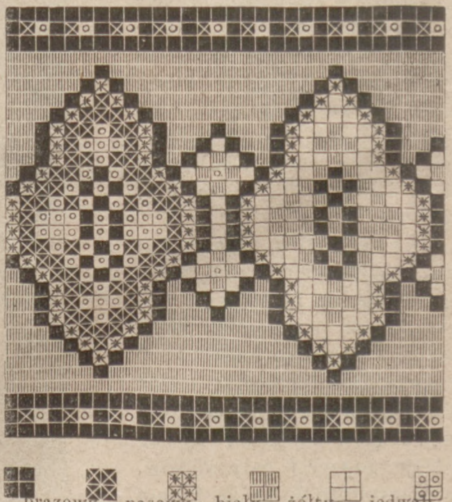
N. 42. Szydełkowa pasmanterja

do jedwabnych paletotów.



N. 16. Wyszycie na tiulu włóczką i jedwabiem do N. 14.

Pasmanterja robi się z czarnego kordonkowego jedwabiu, w poprzek, zaczynając od części górnej przez * 5 o. pow. 6 pik. 5 o po. i znów 5 pikotów z których każdy przedzielony jest od następnych i zarazem przyrabiany do poprzedzających 1 długim słupkiem. Potem 1 o. ść. łańcuszkowe w pierwsze z 5 początkowych o. pow. 3 o. pow., 1 ść. łań. w ostatnie z początkowych o. pow. i 6 o. pow. jako korzonek do wiszącego kwiatka czyli gwiazdki. Ta ostatnia składa się najpierw z 6 listków, na każdy z nich potrzeba 4 o pow.; 1go cztery razy nawijanego pikotu, przyrobionego do pierwszego z 4ch o. po., 3 o. po. przyrobionych 1 o. łań. znów w pierwsze z 4 o. powietrznych. Sześć takich listków łączy się w okrąg a następnie w jednym ciągu dodaje niższe półkole, złożone z 4-ech piko. 1. dłu. słup. zaczepionego przy środkowym listku gwiazdki, 2 pi. 1 sł. zaczepionego z drugiéj strony listka, 4 pi. przyrobionych 1 o. łań, 6 o. po. przyrobionych, 1 o. ści., poczem powtarzać od *.

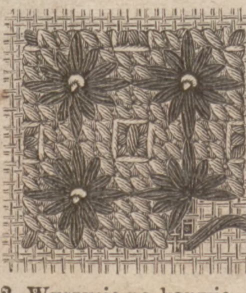


czarny, niebieski, brązowy, pąsowy, biały, żółty jedwab

N. 21. Deseń środkowy do poduszki N. 19.



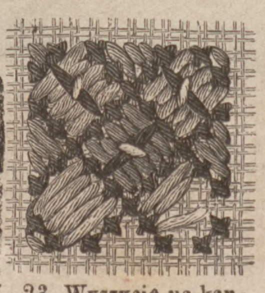
N. 17. podwójna szpilka wygięta do N 14.



N. 22. Wyszycie na kanwie na pantofle, i poduszeczki.



N. 18. Przyozdobienie brzegów do koszyczka N. 14.



N. 23. Wyszycie na kanwie na pantofle, poduszeczki i. t. p.

N. 43—44. Dwa kapelusze dla dzieci.

W tym roku jednakowa forma okrągłych kapeluszy, używana jest dla dziewczynek i chłopczyków. Rondka obydwóch podanych przez nas czarnych słomkowych kapeluszy są wązkie i płaskie, tylko brzeg objęty 3 cent. szeroką wstążką rypsową, jest

w górę podwinięty. Rycina 43 przedstawia główkę wysoką, zwężoną w górze, do 6 cent. szeroką, otoczoną opaskami dawanemi naprzemian z czarnego aksamitu i rypsowéj wstążki. W miejsce kokardy przypięta jest z boku fałdowana wstążka, ułożona w półkole z węzłem aksamitnym i końcami na frendzelkę wysiepanemi. Przy kapeluszu N. 44, główka szeroka i płaska przy wszyciu do rondka jest o tyle tylko zwężona, iż opasanie z czarnéj rypsowéj wstążki, zdaje się ją obciskać. Dodana z boku kokarda jest także z fałdowanéj wstążki lecz mniejsza jak u N. 43, bez węzła aksamitnego i z dłuższemi końcami.

N. 45. Stanik z baskiną

dla małéj panienki. (Zob. formę do N. 46 dodaną).



N. 24—25. Kaftaniki z pelerynką dla panienki od lat 11—15. Krój i opis na arkuszu z krojami N XIX, Fig. 72—74. Patrz oszycie N. 26.



N. 29. Rękaw do vêtement od kostjumu rycina 32 w N. 19 Ty: Mód



N. 30. Rękaw do stanika z karoczkiem. Rycina 49.



N. 27. Ubranie dla chłopczyka od lat 4—6. Krój i opis na arkuszu z krojami N. XX, Fig 75—79. Plecy zobacz ryc: 26 w N. 19 Ty. Mód.



N. 31. Tunika do kostiumu ryc. 2 w N. 19 Tyg: Mód: Krój pod N. 2.



N. 32. Tunika z guzikami do podpinania. Krój i opis na arkuszu z krojami N. XIII Fig 59—61.

Model z białéj alpagi przyozdobiony był pliskami i kokardami z niebieskiego atłasu i wyszyciem z takiegoż jedwabnego sznurka. Stanik zapina się na niebieskie guziki. Wązkie do łokcia sięgające rękawy, zakończone są szeroką plisowaną falbaną; baskina oszyta jest także plisowaniem z tego co suknia materjału. Webowy wykładany kołnierzyk zawiązany jest krawatką z niebieskiéj Crêpe de Chine.



N. 33. Bucik [illegible] z gummą, z glansowanéj skórki.



N. 28. Kaftanik dla dzieci. Krój na dodatku N. VI Fig 31—32.



N. 34. Bucik wizytowy zapięty na guziki z czarnéj serży.

N. 46 i N. 14 w Tygodniku N. 19. Suknia dla panienki od lat 8 do 11.

Forma stanika i baskiny na arkuszu z krojami N. IV Fig. 17 — 23. Krój spódnicy N. VIII Fig. 59—61.

Spódnica sukni jasno brązowéj z wyrobu wełnianego kiprowanego, powinna mieć bryt przedni i kliny boczne podług Fig. 59 60 przykrojone, bryt zaś tylny jest prosty 66 centy. szeroki. Potrójna pliska, ułożona naprzemian z materjału sukni i ciemniejszego aksamitu, razem 4 i pół cent. szeroka, stanowi garnirunek tiuniki, stanika i baskiny, podanéj na ryc. 14 w N. 19 Tygodnika. Pasek skośny $1\frac{1}{2}$ centy. szeroki zastępuje sto-



N. 35. Kokarda z końcami do garnirunków.



N. 37. Guzik wyszyty. sutaszem i perełkami



N. 36. Kokarda bez węzła do garnirunków.



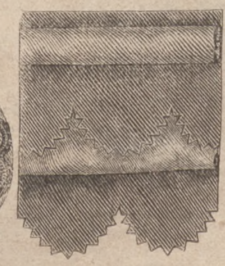
N. 40. Rozeta okrągła ze sznura.



N. 42. Szydełkowe oszycie do paletotów jedwabnych.



N. 39. Guzik przybrany robotą szydełkową.



N. 26. Oszycie do kaftanika N. 25.



N. 38. Guzik przybrany robotą szydełkową i koronkowym ściegiem.



N. 41. Rozeta w liście ze sznura.

jący kołnierzyk. Stanik zapina się na aksamitne guziki, a rękawy i pasek z przodu, przybrane są kokardami z materjału sukni. Baskina do paska przyszyta, osobno w N. 19 Tygodnika podana, służyć może i dla osób dorosłych. Dla małych panienek zastępuje tiunikę.

N. 47. Paletocik

z peleryną Peplum. Zobacz ryc. 33 w N. 19 Ty. Mód.

N. 48. Peleryna

i pasek z baskiną. Zobacz. krój do ryc: 12 w N. 19 Tygodnika.

Pelerynę robi się z materji jedwabnéj albo kaszmiru. Piękne szarfy w rodzaju baskiny układają się z szerokiéj rypsowéj wstążki i koronki na sztywnym tiulu mającym 30 centy. długości, 30 centy. dolnéj a 15—20 górnéj szerokości. W około brzegów przyszyta marszczona koronka, w górze wywija się sposobem wachlarzowym na kokardy ze wstążki i przeszywa środkiem pomiędzy niemi. Do peleryny oszytéj pasmanterją i koronką przypina się górne kokardy ułożone podług podanego wzoru. Tuż pod kokardami przyszyty jest wązki pasek, za pomocą którego pelerynka i szarfy zręcznie przystają do figury.

N. 49 i 30. Suknia

ze stanikiem z baskiną. Zobacz ryc. 17 w N. 19. Tygo. Mód.

Krój stanika podług ryc. 2 w N. 19 Tygodnika.

Plisy zdobiące stanik i tiunikę, dają się z dwóch cieni tego co suknia materjału, albo też z materyi jedwabnéj jaśniejszego i ciemniejszego koloru. Suknia przedstawiona jest wełniana w kolorze żółtawo piaskowym. Stanik którego rysunek tylny podany będzie w N. 19 Tygodnika, kraje się podług Fig. 10—13. Długość powinna być z przodu 61, z tyłu 53 centymetry. Tiunika zbliżona jest do podanéj przy kostiumie „Luna" w N. 19 Tygodnika. Rękaw być może przybrany podług ryc. 30, albo podług ryc. 17 w N. 19 Tyg. Mód. Na ryc. 30 przy zwykłym wązkim rękawie dodane jest ubranie ułożone z kawałka materji, mającego 30 cent. szerokości, 23 bocznéj długości z jednéj strony, z drugiéj zaś strony ścięty skośnie. Prosty brzeg w dwie głębokie fałdy założony układa się w sposób wachlarza, mającego w górze 10 cent. szerokości i przepięte go kokardą.

N. 50. Ułożenie wstążki

do kapelusza, podanego na ryc. 32 w N. 19 Tyg.

Do takiego układu wstążka rypsowa mieć powinna 16 cent. szerokości; przepięcie daje się z liści ułożonych z czarnych perełek.

Opis do N. 19.

N. 1 i 13. Ubranie z vêtement „kostium Grossi."

Krój vêtement na dodatku N. 1 Fig 1 — 6. Zobacz wykończenie spódnicy N. XI.

Spódnica i vêtement mają jednakowy garnirunek, składający się z plis 6 i 4 cent. szerokich, podszytych sztywnym muślinem które zdają się być przypięte za pomocą patek takiejże szerokości, w końcach wyciętych okrągło, długich po 7 i 5 i pół cent. i zapinanych na guziki.

Wypustka z grubym sznurem zakończa górny brzeg plis i otacza brzegi patek. Frendzla 4 cent. szeroka oszywa vêtement u dołu i szerokie rękawy.

Na dodatku podane są nietylko pojedyncze części kroju w naturalnéj wielkości, ale także dołączony jest całkowity format w zmniejszeniu.

Podług nich wykończony jest nasz model z jasno popielatéj alpagi, przy którym tylko pod przedłużoną znacznie część przednią kamizelkową, poddaje się gęstą podszewkę, dodającą wiele mocy przyszyciu guzików i przybrania z patek, krajanych podług Fig. 6.



N. 43. Kapelusz z wysoką główką dla dziecka.

N. 44. Kapelusz z płaską główką dla dziecka



N. 45. Stanik z karoczkiem dla małéj panienki. Krój jak do N. 46.



N. 46. Sukienka dla panienki od lat 8—12 Krój stanika i karoczka na dodatku N. IV Fig 17—23. Krój spódnicy N. XIII, Fig 58—61.



N. 47. Paletocik z peleryną (Peplum) Krój na dodatku N. II Fig 7—9



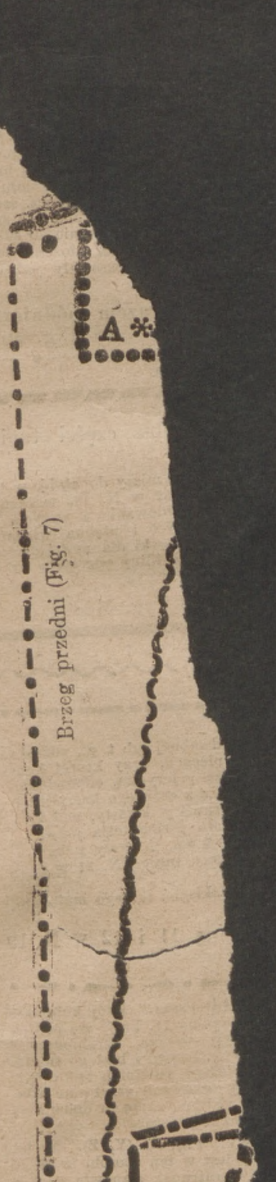
N. 48. Peleryna z karoczkiem. Kapelusz okrągły przybrany wstążką, kwiatami i piórami. Krój jak do ryciny 12 w N. 19 Tyg: Mód.



N. 50. Szarfa do kapelusza do ryciny 32 w N 19 Tyg. Mód.



N. 49. Suknia ze stanikiem z baskiną. Kapelusz z woalem. Patrz rycina 30 w N. 18 i ryc. 17 w N. 19. Tygodnika Mód


A*
Brzeg przedni (Fig. 7)

Mód.
tanika.

ości i
kośnie
bryty
dołu do
cent. szero-
nika, od szer-
ranie do sukni.
st ułożenie form
pasowały jedna w

azem spódniczka
N. 18 Tyg. Mód.

bie części tuniki

miary dopełnić, w tył
32 w N. 18, wskazują
łdowanie i wszycie w
ści i piękna wiązana
niczki dla małej dziew-
ś kliny pozostają takie

Tyg. Mód.

dwabnéj lub t. p., odznacza
plecach, przy któréj końce
że pelerynka, odpowiedniéj
sz z czarnego kaszmiru na
zanéj w kwasty, nad którą
ata pasmanterja jedwabna,
wtarza się przy pelerynce
przy tunice N. 31 w N. 18

takiegoż samego materjału.

cina 11 i 12 w N. 19

łnierzem. Krój kołnierza
rycina 11, kraje się podług
ym wzorze, odrobionym z
u czarnego i białego sukna.
iększy powinien być o tyle
y rękawach przybrane atła-
którego zapięciu dodane są
rokiéj wstążki.

V., Fig. 65. (Y, Z). Model
ny jest w ten sposób, iż paski
Garnirunek stanowią wązkie
ki służą do zapinania.

ycina 19 w N. 19 Tyg.

10 i • 10)

o téj formy nadają się tylko
rycina 19 z wełnianego kipro-
są, wyszyciem z jedwabnego
yny może także służyć forma
tak materjał, ażeby w środku
ugość potrzeba podług miary
a z przodu 54 z tyłu 70 cent.
20 cent., daléj ścina się skośno
przodu zaokrąglona i skrócona,
gości w środku. W odległości
cent. materjału na kontrafałdę,
winno wypadać na środku. —
łniany od spodu, repsowy z
wełniana stanowi zarazem
przyszywa się do wykroju
przyozdabia przeszycie
Wązka, haftowana,

Rycina 27